WTOREK Nr 55 85-05-07 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Jutro rusza 33 Wyścig Pokoju

Patrz str. 3

Ryszard Szurkowski występuje teraz w roli trenera. Tegoroczny WP jest właściwie jego trenerskim debiutem

Fot. M. Żbikowski

Dom Harcerza w Tychach

KATOWICE (Inf. wł.) Brak harcówek przestanie niebawem dręczyć tyskich harcerzy. Komenda Tyskiego Hufca ZHP uzyskała bowiem lokalizację Domu Harcerza. Mieścić się on będzie przy ul. Paprocańskiej. Stary budynek, którego właścicielami stali się harcerze, trzeba gruntownie wyremontować. Udało się również odkupić od prywatnego właściciela teren potrzebny pod budowę pawilonów rekreacyjnych.

W urzędzie miejskim w Tychach powołano do życia Społeczny Komitet Budowy Domu Harcerza, w skład którego weszli przedstawiciele władz polityczno-administracyjnych miasta, członkowie aktywów pracowniczych tyskich przedsiębiorstw i zakładów pracy oraz instruktorzy komendy Hufca. Funkcję przewodniczącego powierzono prezydentowi miasta Janowi Jaruszkiewiczowi.

Jak poinformował nas komendant Tyskiego Hufca ZHP hm Janusz Kwiecień - tempo prac przy rozbudowie i remoncie obiektu zależeć będzie w głównej mierze od operatywności przedsiębiorstw, których przedstawiciele weszli w skład Społecznego Komitetu budowy Domu Harcerza. Każdy z nich podjął się w imieniu swojego zakładu pracy wykonania odpowiednich robót specjalistycznych, resztą zajmą się sami harcerze. Przewiduje się, że całość będzie zrealizowana w 3 etapach, a zakończenie prac nastąpi prawdopodobnie w lipcu przyszłego roku. Ekipy remontowe tyskiego Miejskiego Zarządu Budynków Mieszkalnych dokonują już pierwszych prac adaptacyjnych w przyszłej siedzibie harcerzy.

(kk)

Mistrzowie biegów na orientację

Tym razem w Gniewkowie

Niezwykle interesujące, ale i trudne okazały się piąte z kolei mistrzostwa kraju w długodystansowych biegach na orientację. Na znakomicie przygotowanych trasach Gniewkowa (woj. toruńskie) startowało około 170 zawodniczek i zawodników z 23 klubów. Seniorzy wystąpili na dystansie aż 29,5 km, wyznaczono dla nich 26 punktów kontrolnych. Najlepszym okazał się **Roman Trzmielewski**. W gronie pań, dystans 13,5 km (13 punktów kontrolnych), zwyciężyła **Alicja Waleńciak**. W Gniewkowie rywalizowali też juniorzy starsi i młodsi. W grupie pierwszej triumfował **Ryszard Karski**, zaś w drugiej **Mirosław Szczurek**.

Wszyscy wymienieni zawodnicy są reprezentantami krakowskiego klubu „Wawel".

Sympatykom tej konkurencji przypominamy o trwającym konkursie „Świata Młodych" pn. „Biegi na orientację". Każdy zespół, który do dnia 1 czerwca br. nadeśle do redakcji prawidłowe rozwiązania trzech zadań (patrz „SM" z 28 i 30 marca br.), ma szansę zdobyć cenne nagrody. Należą do nich: bezpłatny udział w ogólnopolskich zawodach („Puchar Najmłodszych"), udział w wakacyjnym obozie specjalistycznym oraz sprzęt sportowy.

(zp)

ŻÓŁWIE Z GALAPAGOS URATOWANE

(PAP). Trwający: od tygodni olbrzymi pożar na Galapagos, wyspach położonych wśród wód Oceanu Spokojnego, w odległości ponad 1 000 kilometrów od brzegu, zagroził olbrzymim żółwiom morskim zamieszkującym archipelag.

W miarę rozprzestrzeniania się ognia zdecydowano się rozpocząć przygotowania do ewakuacji 600 olbrzymów, z których największe osiągają wagę 300 kg. Ostatnio udało się jednak powstrzymać pożar. Płomienie pochłonęły w sumie 35 hektarów niezwykle rzadkiej przyrody.

Koniec kłopotów z zębami?

RFN (PAI). Dwóch studentów medycyny jednej z uczelni RFN przez dwa lata badało wpływ wysłodków buraczanych na zapobieganie próchnicy zębów. 73 osobom zalecili oni żucie przez 5 minut po obiedzie i śniadaniu po około 1,2 grama wysłodków. Stwierdzili, że przyczynia się to do oczyszczenia szkliwa zębów i usuwa kamień. Przywraca też zębom śnieżnobiałą barwę i połysk. Jedyną przeszkodą był niezbyt przyjemny smak żutych wysłodków. Wymieszano więc je z substancjami poprawiającymi smak. Po tym uszlachetnieniu 70 proc, badanych osób wyraziło gotowość zastąpienia wysłodkami pasty do zębów. Koszt jednorazowego czyszczenia tym sposobem zębów wynosi 0,05 feniga. Studenci opatentowali swój wynalazek, zyskali również za niego szereg nagród.

OKRZEMKI W ROLI KONTROLERÓW CZYSTOŚCI WÓD

Dr Horst Lange-Bartalot rozpoczął w 1972 r. systematyczne badania jakości wód Menu, Renu i ich dopływów, uznawanych za najbrudniejsze rzeki Europy. Bardziej niż sprawcy zanieczyszczeń interesowały go biologiczne metody oznaczania czystości wód. Najlepszym wskaźnikiem, a ściślej, najlepszą metodą fizyczno-chemiczną okazały się mikroskopijne glony jednokomórkowe - okrzemki (Diatomae), wielkości zaledwie 0,02-0,1 mm. Rośliny te były w XIX wieku zaliczane do zwierząt; zbierano, ję ze względu na wspaniałe kształty.

Rozwój mikroskopii umożliwił poznanie budowy i zdumiewającej różnorodności powłok, zbudowanych z twardego dwutlenku krzemu - tworzywa kamieni i piasku.

Dopiero jednak intensywne badania wykazały olbrzymią rolę, jaką odgrywają te niewidoczne prawie, lecz rozwinięte mikroglony. Nie są one tylko początkiem długiego łańcucha pokarmowego; wśród wszystkich mieszkańców wód okrzemki dostarczają jedną piątą substancji organicznych na drodze fotosyntezy z dwutlenku węgla i wody. Tyle samo co rozległe lasy półkuli północnej lub rośliny uprawne na całej Ziemi!

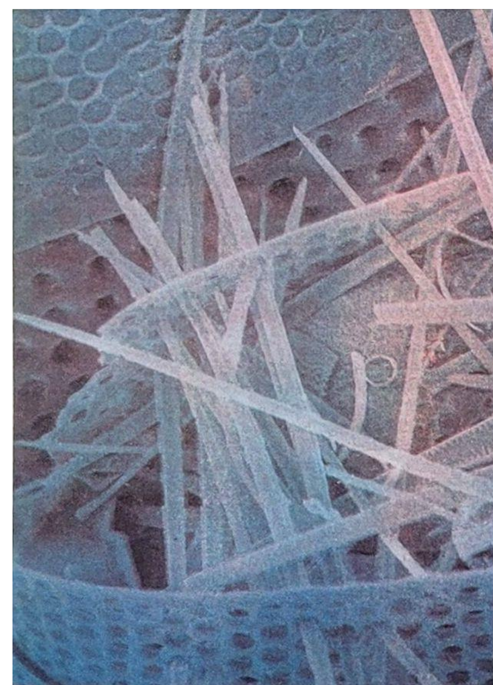
Mikroskopy elektronowe pozwoliły na poznanie ponad stu tysięcy form odmian, tworzących 10 tysięcy gatunków. Tym samym okrzemki tworzą typ i klasę najbogatszą w gatunki.

Tylko sto gatunków wystarcza ekologowi Lange-Bartalotowi do oznaczenia stopnia zanieczyszczenia wód. Minęły już czasy, gdy służyły do tego celu ryby. Dziś rzeki są tak zanieczyszczone, że nie mogą w nich żyć nawet mniej wrażliwe ślimaki i larwy komarów, a żywa ryba zasługuje na doniesienie prasowe w dziale sensacji.

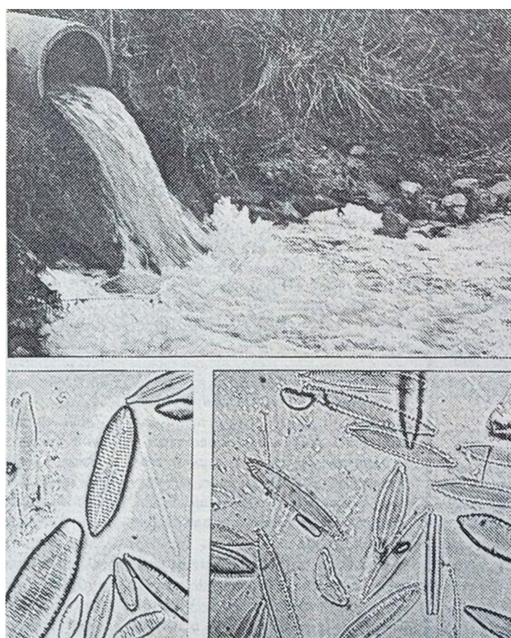
Jedynym odpornym organizmem żywym okazała się okrzemka. W czystej wodzie żyją wszelkie gatunki okrzemek. W miarę wzrostu zanieczyszczeń odpadają gatunki wrażliwsze, przeżywają odporniejsze. A najbardziej odporne czują się dobrze nawet tam, gdzie według dr Bartalota „smród bije pod niebiosy": w oczyszczalniach ścieków komunalnych i ujściach ścieków fabryk chemicznych, drożdżowni i celulozowni.

Okrzemek nie oszuka chytry fabrykant, spuszczający truciznę w nocy, gdy nie działa kontrola. Okrzemki są nieprzekupne i tanie, mają więc zapewnioną przyszłość w roli kontrolerów czystości wód.

Wg **„Hobby"** (kg)



Dopiero mikroskop elektronowy uwidacznia najdrobniejsze szczegóły struktury: przez dziurki pokrywy okrzemki przechodzą krzemionkowe igły



Ścieki komunalne obciążają nasze wody najbardziej. Tu mogą przeżyć tylko najodporniejsze gatunki okrzemek. Ekolodzy chcą jak na razie osiągnąć II klasę czystości wszystkich rzek. Zdjęcie górne i prawe - ścieki komunalne i odporne okrzemki, zdjęcie lewe - okrzemki żyjące w wodach II klasy czystości

Nowa szczepionka przeciwko wściekliźnie

Miliony ludzi uratowała szczepionka przeciwko wściekliźnie wynaleziona przez Ludwika Pasteura.

We Francji przygotowano nową szczepionkę, która charakteryzuje się prawie stuprocentową skutecznością, jest bezpieczna i tańsza. Wytwarzana jest nie z żywych wirusów, lecz z białka uzyskiwanego metodą inżynierii genowej.

Staroegipski skarb

NRD (PAI). Sensacją minionych 35 lat, jak określiła to wydarzenie gazeta „Neues Deutschland", jest przypadkowe odkrycie w NRD egipskiego skarbu pochodzącego z lat 653-535 przed naszą erą.

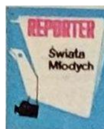
Skarb zawiera m. in. 66 monet brązowych, figurki, amulety, wyroby ze szkła, fajansu, kamienia, Przed wiekami był on własnością grafa von Alvensieben. Odkryli go przypadkowo potomkowie jego rodu.

Bezcenne pamiątki sprzed 25 wieków eksponowane są na Wyspie Muzeów w Berlinie.

ANGIELSKI NADAL W MODZIE

Według doniesień prasy brytyjskiej, język angielski jest nadal popularny na świecie, chociaż Imperium Brytyjskie rozpadło się dawno.

Obecnie - lepiej czy gorzej— mówi po angielsku 1,4 miliarda ludzi, czyli prawie jedna czwarta mieszkańców naszego globu.



PAMIĘTNY DZIEŃ

HITLER KAPUT!
Zapowiedź nowego życia

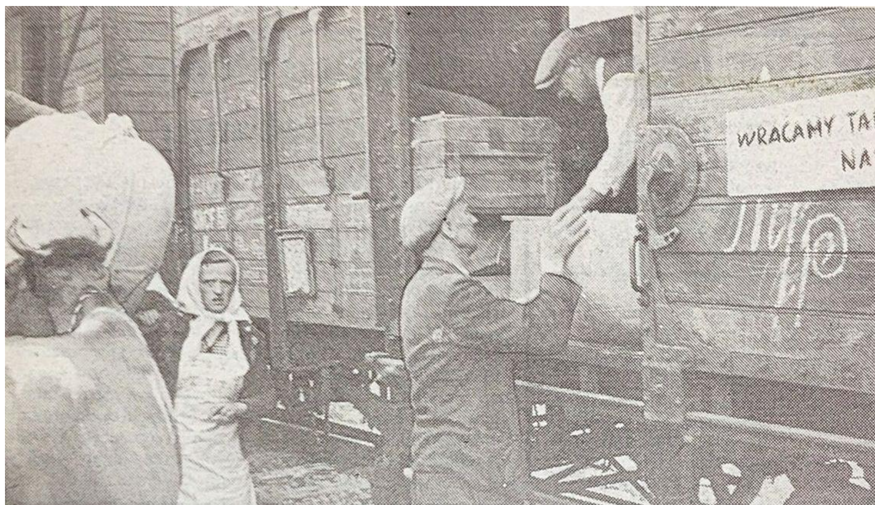
Dnia 9 maja 1945 r. w małej miejscowości Czeszki na terenie ZSRR ogłoszono, że Berlin został zdobyty. „Hitler kaput!". W domu położonym nad rzeką Dzisną zapanowała ogromna radość: więcej już nikt nie będzie palił wsi, nikt nie będzie wykonywał egzekucji w pobliskim lesie i nikt podszywający się pod partyzantów nie będzie chłopom odbierał ich dobytku. Może wreszcie dowiedzą się czegoś o swej najstarszej siostrze Antosi i jej synu, którzy od listopada 1944 r. nie dali znaku życia...

Siostra mojej babci **Józefy Drozdowicz**, Mania, poszła do krewniaczki Kozaryny dosadzić i tak dość późno sadzone w tym roku ziemniaki, a Julek, jej syn, pobiegł do sąsiada pomóc rąbać drzewo.

Dzień był słoneczny i pachnący wiosną. Józińka, jak babcię nazywali w domu, poszła namoczyć pościel do prania oraz przygotować krochmal nagromadzony dzięki częstym daniom z tartych ziemniaków. U Kruźllchy, Kazaryny i Karmanichy oraz innych dalszych sąsiadek wisiały na plotach, kołkach, gałęziach zimowe kożuchy, wysokie walonki, własnoręcznie tkane płótna, owcza wełna. Na belkach suszyły się zebrane zeszłego lata wianki rumianku, podbiału, piołunu. Wisiały płócienne wory wypełnione nasieniem lnu i maku. Wszystkie podwórza były zagracone jak w sklepie ze starociami. Pod dachami stały drewniane, pomalowane na zielono lub w kwiaty, ozdobione żelaznymi okuciami skrzynie, w których dobrze zapakowane spoczywały naczynia, lepsze ubrania i co cenniejsze rzeczy. Ogrody ożywiły się obsypane młodą zielenią i były dziwnie porozkopywane... to ludzie wydobywali schowane w ziemi w wielkich konwiach i baniakach zboże, zapasy już i tak zepsutej żywności oraz inne rzeczy, które zostały ukryte przed grabieżcami. Tu i ówdzie rozmawiano o wyjeździć do Polski - wreszcie wyzwolonej, na nowe miejsce. Nikt niby nie chcial jechać, ale jakoś wszyscy gotowali się do dalekiej i zupełnie nie znanej drogi z odrobiną optymizmu...

Nie stara, ale i nie młoda kobieta, którą była wtedy moja babcia, sterana ciężką walką o życie i chleb dla siostry i jej syna oraz dla siebie, walką o uratowanie innych z rodziny, jak i osób zupełnie nieznanych, bezimiennych, odczuwała spokój. Wiedziała, że może wreszcie jej życie tam gdzieś na Zachodzie, kolo nieznanej Zielonej Góry, dokąd repatriancki pociąg ją dowiezie, odmieni się. Będzie miała swój własny dom, do którego nikt nie będzie walił w nocy kolbą karabinu, nie zazna już więcej głodu i nigdy nie będzie chodzić po ziemi grząskiej i cieplej od ludzkiej krwi.

Teresa Jaskulska
Kolsko



Pociągi z repatriantami jechały na Zachód — Fot. archiwum

Chcą nowych granic?

Bogusław Orłowski urodził się w 1917 r. w rodzinie rolniczej. Będąc chłopcem ciężko pracował na ojcowskim gospodarstwie, jak również zarobkował gdzie się dało. Praca w polu, choć niepodobna do sportu, dawała mu siłę, wytrzymałość i hart ducha. Te cechy wystarczyły do przydzielenia go do ułanów, bowiem 5 XI 1938 został powołany do służby wojskowej w Osowcu koło Grajewa. Przydzielono go do 9 pułku strzelców konnych.

1 IX 1939 r. pułk został przeniesiony do Grajewa. Już w czasie pierwszej walki pułk odniósł poważne straty w ludziach. Wraz z pozostałymi przy życiu strzelcami pan Orłowski został włączony do 5 pułku ułanów. Walczył z Niemcami w okolicach Grajewa, Osowca, Czerwonego Boru, Ostrowi Mazowieckiej oraz w okolicach Kocka. 6 X 1939 r. był dniem jego ostatniej walki.

A było to mniej więcej tak: konie z obstawą zostały w małym Jasku, przed nimi była polana, a za polaną - wróg. Kiedy ułani wybiegli na polanę, Niemcy z maszynowych karabinów zaczęli tak strasznie „siekać", że nie było mowy, by iść do przodu ani cofnąć się do koni. Pan Bogusław pamięta jak pocisk rozerwał się blisko niego i on na jakiś czas stracił świadomość. Kiedy oprzytomniał - stali obok niego Niemcy. Było ich kilku, również jakiś oficer.

- Ja natomiast – wspomina - leżałem, trudno określić w jakiej pozycji, twarz w każdym razie miałem na ziemi. Słyszałem krzyk, jakieś pytania, a potem Niemiec podszedł i tym ładnym, oficerskim butem kopnął mnie prosto w zęby, aż się wywróciłem brzuchem do góry. Chciał mi strzelić w głowę, ale jeden z hitlerowców coś powiedział i odeszli. Zostałem. Ktoś mnie potem wciągnął do obory, gdzie było trochę ściółki. Nie jadłem i nie piłem, czekałem i prosiłem o śmierć. Po trzech, a może po czterech dniach odnaleziono mnie. Znalazłem się w szpitalu polowym w Kocku.

Po wyjęciu „żelastwa" poskładano mnie do kupy. Następnie zostałem przewieziony do szpitala wojskowego w Warszawie, gdzie przebywałem przez okres 9 miesięcy.

Wrócił na.ojcowiznę. Wieś była kilka razy grabiona i palona. Po wojnie, kiedy życie wracało do normy, rosła nadzieja na odbudowę gospodarstwa. Pan Orłowski od nowa zaczął tyrać, choć siły miał już mniejsze. Ożenił się, a jednocześnie powiększył areał ziemi. Wspólnie z żoną Józefą wychowali jedną córkę, która teraz wychowuje czworo dzieci.

Bogusław Orłowski został w 1982 r. mianowany kapralem, ma też; kilka odznaczeń. W1979 r. odznaczono go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, rok później Medalem Zwycięstwa i Wolności, a w 1982 r. Medalem za Udział w Wojnie Obronnej w 1939 r. Należy do ZBoWiD-u; ma drugą grupę inwalidztwa. Chciałby spotkać się z lekarzami, którzy może gdzieś tam żyją, by zobaczyli, że warto było walczyć o życie biednego żołnierza! A pamięta, że lekarze oddawali dla niego krew.

* * *

9 maja 1945 r., kiedy cały świat, a szczególnie Europa, biły brawa dla żołnierzy radzieckich, polskich i sojuszniczych, leżał w szpitalu na zapalenie pluc. Wiadomość o zakończeniu strasznej wojny obudziła go jak z letargu i od tego czasu zdrowie polepszało się z godziny na godzinę.

A teraz Bogusław Orłowski ze wsi Dzbenin woj. ostrołęckie zaczyna myśleć: „Faszyści się odzywają i chcą nowych granic, polityka Reagana straszy zniszczeniem ustroju socjalistycznego. Te pogróżki z Zachodu obrażają mnie".

Zapisała: **Ewa Kaczyńska**
z Ostrołęki



Polacy z sąsiedniej wsi, także przebywający na przymusowych robotach w Austrii

NAJKRÓTSZA DROGA

Mój ojciec mając 17 lat został w 1942 r. wywieziony na przymusowe roboty do Austrii, która wtedy była włączona do Rzeszy. Pracował na wsi u gospodarza Otto Nuwirtha. Razem z ojcem w tej wsi było jeszcze sześciu Polaków. Wieczorami spotykali się u jednego z gospodarzy, wspominali swoją rodzinę i dom. Mając przepustkę, ojciec chodził także do sąsiednich wsi do Polaków, którzy jak i on byli wywiezieni na przymusowe roboty. Tak minęły dwa lata.

W trzecim roku coraz więcej było słychać o klęskach wojsk niemieckich. Choć ojcu nikt z gospodarzy o tym nie mówił, można było się domyślеć, że koniec wojny blisko. 5 maja 1945 r., gdy ojciec bronował pod lasem na wzgórzu, zauważył dużo samochodów, ciężarówek i wozów. Byli to Niemcy opuszczający tereny, do których zbliżał się front. Ludność niemiecka zamieszkująca Bernszlag i okolice, także wpadła w popłoch, a kilka rodzin nawet wyjechało. W tym wielkim rozgardiaszu pracy było mniej niż zwykle, lecz przez nieostrożność można było stracić życie. Rodziło się pytanie: a co będzie z nami? Ten okres strachu i napięcia przerwało wkroczenie wojska radzieckiego, które uwolniło wszystkich, nie tylko Polaków. Był to chyba najszczęśliwszy dzień w życiu mego ojca - pierwszy dzień wolności.

Do Polski ojciec wracał w gronie rodaków. Szedł większą część drogi pieszo, lecz w jego odczuciu była to najkrótsza droga, jaką zna, ponieważ wiodła do Polski, wolnej i niepodległej.

Obecnie ojciec mój, **Tadeusz Stec**, ma 61 lat i często wspomina tamte czasy, a ja chętnie słucham tych opowiadań.

Ewa Stec (lat 16)
Mirocin Górny

Czekali wszyscy, doczekali niektórzy...

Dziadek mój, **Jan Mroskowiak**, został aresztowany 7 kwietnia 1941 roku podczas łapanki w Poznaniu. W obozie Mauthausen Gusen przebywał cztery lata i dwa miesiące. Najpierw pracował w kamieniołomach, ale po złamaniu nogi został przeniesiony do fabryki, gdzie produkowano samoloty. Dniem, który najbardziej zapisał się w jego pamięci, był 5 maja 1945 roku. Na rannym apelu Niemcy wyczytali kilka numerów i kazali ich „właścicielom" wystąpić i pozostać na placu. Na szczęście numer dziadka: 46 743 nie został wymieniony.

Tego dnia ranek był piękny. Słońce wychodziło zza szczytów gór (obóz był w alpejskiej dolinie w Austrii). Więźniowie nie zauważali jednak tego, byli przygnębieni. Martwił ich los towarzyszy niedoli, którzy pozostali na placu apelowym.

- *Zabrano ich i więcej już nie zobaczyliśmy się* - mówił dziadek. - *Nie słyszeliśmy, aby ktoś krzyczał, wzywał pomocy lub płakał. Była przejmująca cisza. Przez szpary w oknie słońce rzucało promienie do ponurych pomieszczeń obozowych. Te parę promieni wniosło do celi nowe życie, chociaż nikt z nas właściwie już nie wierzył, że ono kiedykolwiek nastąpi...*

W pewnej chwili usłyszeli, że na plac zajechały ciężarówki i motocykle, rozległ się bowiem warkot silników. Wkrótce wszystko się oddaliło i znowu nastała cisza... Więźniowie domyślali się, że to młodzi żołnierze niemieccy wyjeżdżają na front. Po obiedzie około godziny 14.00 hitlerowcy wyprowadzili z bloków prawie 100 więźniów. Część została od razu rozstrzelana, reszta, zaś spalona w dołach, wyścielonych wcześniej chrustem, polanym benzyną. Niemcy już wiedzieli, że przegrają wojnę; mścili się.

Po egzekucji, pozostałych ludzi ogarnęła panika. Strach wzrósł, kiedy ze wszystkich bloków zaczęto wypędzać więźniów na plac apelowy. Stali w pozycji na baczność około trzech godzin aż do 18.00. Dziwili się tylko, dlaczego Niemcy jakby złagodnieli, zachowywali się całkiem normalnie.

- *Jakież było nasze zdziwienie* - opowiadał dalej dziadek - *kiedy otworzyła się brama i na teren obozu wjechał amerykański czołg z załogą w międzynarodowym składzie. Był i Polak! Przeszkadzając sobie nawzajem załoga czołgu zaczęła gorączkowo tłumaczyć, że koniec wojennej udręki, że wszyscy są wolni!*

- *Wtedy* - wspomina dziadek - *ludzie zaczęli się zachowywać bardzo dziwnie. Właściwie to nie wiedzieli co mają zrobić. Jedni stali osłupiali i nie wierzyli, że to koniec wojny, niewoli i nieszczęść. Niektórzy dostali ataku serca i umierali. Zabiła ich radość wolności. Grupa więźniów rzuciła się na czołg i całowała go płacząc. Jeszcze inni biegli do kuchni obozowej, aby się posilić. Zaczęto gotować ziemniaki, dzielić się chlebem.*

- *Też poszedłem do kuchni* - mówi ze łzami w oczach dziadek. - *Zjadłem dużo, ale wciąż byłem głodny!*

Dzień 5 maja 1945 roku dobiegał końca. Słońce zaczęło się chować za grzbiety gór. Dziadek powiedział mi, że był to naprawdę wielki i szczęśliwy dzień. Tak czekał na upragnioną wolność. Czekało wielu, ale niestety nie wszystkim dane było jej doczekać.

Małgorzata Mroskowiak
Nowa Sól



Miłość XX wieku

Piszę w sprawie, która zajmuje dużo miejsca w moich rozmyślaniach, mianowicie w sprawie naszej nastolatkowej miłości z końca XX w. Myślę, że ta nasza dzisiejsza miłość znacznie różni się od tamtej dawnej, pełnej wzniosłych uczuć i wzajemnego poszanowania. Wtedy dziewczyna liczyła się dla chłopca, a on liczył się dla niej. A dziś... może i istnieje taka piękna miłość, ale bardzo rzadko a ja choć szukam, to nie mogę jej znaleźć.

Dziś dla chłopaka i dziewczyny liczą się trzy najważniejsze rzeczy: uroda, ubranie i figura, a dopiero na końcu najważniejsze - charakter. Wątpię, żeby jakiś chłopak zwrócił uwagę na dziewczynę brzydką, niezgrabną, a do tego źle ubraną. Sama stwierdzałam to na sobie, kiedy szłam do miasta trochę gorzej ubrana. Kiedy ubierałam się w modny ciuch, to nigdy nie narzekałam na brak zainteresowania płci przeciwnej. I to mnie w zupełności przekonało, że dla dzisiejszego chłopca mało liczy się charakter dziewczyny. Chłopcom zależy na tym aby móc się pokazać ze swoją sympatią, po to, by koledzy zazdrościli „bombowej" dziewczyny. Starają się o dziewczynę po to, by ją zaliczyć. W te smarkaczowskiej niby-mitości chłopak na ogół żąda od dziewczyny „dowodu miłości". Rozsądna dziewczyna odmawia i wtedy chłopak ją rzuca, bo ty mnie nie kochasz". Pamiętajcie, że chłopak, który żąda od was „dowodu miłości", nie ma pojęcia o miłości. On naprawdę jeszcze nie wie co to miłość. Nie kochał i nie kocha.

Jego „kocham" jest puste i nic nie warte. Można je usłyszeć z wielu chłopięcych ust, słowo to przechodzi lekko, zbyt lekko przez gardło. Zapewne większość nie zna jego znaczenia. Dziś się „kocha", jutro porzuca bez jednego słowa, znów „kocha" i znów porzuca, i tak w kółko.

Można to wywnioskować z wielu listów od „porzuconych i zrozpaczonych" zamieszczanych w „RP". Bardzo często się spotyka dziewczyny, które piją, palą i pokazują jakie są już „dorosłe" tylko dlatego, żeby nie utracić swego „ukochanego".

Często zastanawiam się też gdzie się podział szacunek chłopców do dziewczyn. Przy wchodzeniu do klasy chłopak zdeptałby cię, bo on musi być pierwszy. Wielu śmieszy dziś miłość, o której czyta się w romansach, pełna wdzięcznych konwersacji, przy śpiewie słowika, serenadach w blasku księżyca, pod balkonem ukochanej. Mnie jednak to nie śmieszy, przeciwnie, marzę o takiej miłości! Wiem, że na pewno istnieją takie pary, które może obrazić to, co napisałam, bo dla nich miłość to coś więcej niż ubranie, figura, pocałunki. Właśnie takiej miłości i ja szukam. Wiele razy „kochałam" i za każdym razem myślałam, że to ta „wielka miłość", ta miłość na całe życie. Lecz zawsze to uczucie szybko się kończyło, bo każdy, którego do tej pory „kochałam" chciał, bym mu służyła za maskotkę na prywatce, do pokazania kolegom, do całowania. Każdy z nich traktował mnie jak rzecz. Każdemu z nich wierzyłam, ale każdy mnie porzucił, nie rozpaczałam, bo ja wciąż szukam i wierzę, że znajdę. Mam 16 lat. W tej chwili trzeźwo patrzę w przyszłość i wiem, że ta prawdziwa i dojrzała miłość musi nadejść.

Proszę o wypowiedź na „niebieskim pasku" moich rówieśników na temat miłości nastolatków z lat osiemdziesiątych XX wieku.

Proszę, wyraźcie swoje zdanie na ten temat.

Bella

Jak Kuba...

- Dorota, gdzieś ty była? No gdzieś ty była?!!! Jak ty mogłaś! Wracam z pracy, a ciebie nie ma. Przez godzinę czekałam jeszcze spokojnie. Przez następnych kilka coraz mniej. Ani mnie nie uprzedziłaś, ani nie zostawiłaś kartki, ani nie zadzwoniłaś. Już same najgorsze rzeczy sobie wyobrażałam: że wpadłaś pod samochód, że cię ktoś zaczepił i... już lepiej nie mówić co dalej. Jak ty możesz być taka bezmyślna, taka okrutna! Pierwszy raz w życiu aż mnie ręce swędzą, żeby ci przyrżnąć. Żeby cię stłuc na kwaśne jabłko! Dlaczego nic nie mówisz? Dlaczego w ogóle się nie odzywasz?!'

— Przecież nie dajesz mi dojść do słowa.

— Ach tak, jeszcze mi pyskujesz! Co to za ton! „Przepraszam" z siebie wydusić nie umiesz, ale pyskować, o, to potrafisz wspaniale.

— Mamo, żaden ton, tak ci się tylko wydaje. Już ci mówię: najpierw zwyczajnie poszłyśmy z dziewczynami na spacer, żeby nam się trochę w głowach rozjaśniło przed tymi piekielnymi zadaniami domowymi z matmy. Ale kiedy potem usiadłam do lekcji, okazało się, że spacer guzik pomógł. W żaden sposób nie mogłam dać sobie rady. Więc poszłam do Anki. Ona też nie była mądrzejsza. No to poszłyśmy do Gośki. A tam już siedziała nad tym prawie cała rodzina. I też nic. No to w rezultacie mama Gośki zrobiła nam kolację. No to zjadłam. I dopiero po tej kolacji jakoś nam poszło. Rozwiązaliśmy! Nie zadzwoniłam, bo przecież Gośka nie ma telefonu. A kartki ci nie zostawiłam, bo skąd mogłam wiedzieć wychodząc, że tak długo mnie nie będzie. No, dlaczego teraz ty nic nie mówisz?!

- Przestań w końcu z tym zaczynaniem każdego zdania od „no"!

Wszystko okazało się niezwykle proste. Dorota uważa, że nie zrobiła nic złego. I ma rację, tyle że z jednym malutkim wyjątkiem: naraziła mnie na taki okropny strach. Czy ona naprawdę tego nie rozumie?! A ja znów nie wytrzymałom, tylko zamiast poczekać na to, co ona ma mi do powiedzenia, wsiadłam na nią z wrzaskiem. Mimo że tyle razy sobie przyrzekałam, że już nigdy. Chyba nawet to wielogodzinne rozdygotane oczekiwanie mnie nie usprawiedliwia. Teraz więcej nic nie powiem, jeśli ona, po tej całej mojej tyradzie uważa, że jest zupełnie w porządku, żadne gadanie nie pomoże.

- Mamusiu, nie smuć się już. Przepraszam cię bardzo.

*

- Dziewczyny, jeszcze nie śpicie? Przecież ciemna noc!

- Mamo, gdzieś ty była tak długo? Dlaczego nic nie mówisz? Musisz tak milczeć?! Wiesz, jak się o ciebie martwiłyśmy? Słowa nam nie powiedziałaś, że wrócisz tak późno. Magda już od godziny płacze, że pewnie znów cię stuknęli w samochód.

- Dajcie spokój, wszystko w porządku, tyle że jestem bardzo zmęczona. Śpijcie już.

- No wiesz! Ale ty jesteś! Pewnie znów sobie poszłaś do kina. I nawet nie zadzwoniłaś! I nawet nas nie przeprosisz! Ale powiem ci jeszcze; że chyba teraz dopiero wiem, jak okropnie musiałaś się czuć, kiedy ja tak w zeszłym, tygodniu długo nie wracałam, a ty nic o mnie nie wiedziałaś.

- Dobrze już, córeczko. Ja was też przepraszam. I zawrzyjmy umowę, że nie będziemy, już więcej narażać się wzajemnie na takie przykre chwile. A teraz dobranoc.

Tak się czasem wysilam, żeby jej pewne rzeczy wytłumaczyć, a ona nic: jak skała. A tu okazuje się, że wszystko załatwia zwykły przypadek. Czyżby powinno się z ludźmi postępować na zasadzie przysłowia „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie", bo człowiek, a szczególnie mały, nie jest w stanie zrozumieć czegoś naprawdę, dopóki sam tego nie przeżyje? Niewesołe...

*

- Dorotko! Siadaj tu koło mnie, chciałabym cię o coś zapytać.

- O matko, znów przesłuchanie.

- Jak ty do mnie mówisz?!

- No dobrze, już dobrze. O co chodzi?

- O nic. Jak masz do tego taki stosunek, to nie mam z tobą zamiaru rozmawiać.

- Mamuś, dlaczego ty się zaraz obrażasz jak małe dziecko? No pytaj wreszcie.

- No więc, nie daje mi spokoju...

- Oho, ty też zaczynasz zdanie od „no"...

Taka atmosfera się zrobiła, że po prostu nie mogę jej zapytać o tego chłopaka. Nie, jeszcze nie teraz, lepiej bez tych wstępów, przy jakiejś okazji. A może przyjdzie moment, że sama mi o tym powie?

- Chciałam cię po prostu zapytać, jak ci dziś minął dzień.

- No wiesz, chyba żartujesz. Już ja dobrze wiem, że chodzi ci o coś innego. Dlaczego zaczynasz a potem się wykręcasz?!

*

- Mamo, siadaj tu koło mnie, mam ważną sprawę.

Może teraz wreszcie powie o tym Jacku. Musi mi w końcu o nim powiedzieć. Jeśli nie, to znaczy, że żadne z nas przyjaciółki. Że też akurat w tej chwili musiał zadzwonić telefon!

- Ale długo gadałaś. Czy ta ciotka Marta nie ma już bliższej rodziny, że cl tak na okrągło zawraca głowę?!

- Dobrze już, dobrze, przestań. Miałaś mi coś powiedzieć.

- Ja? A, to naprawdę nic ważnego. Zapomniałam,

- No wiesz, chyba żartujesz. Dlaczego zaczynasz, a potem się wykręcasz?!

I czego tak się złoszczę? Po prostu odczułam na własnej skórze „Jak Kuba...". Żeby tak następnym razem obydwu nam udało się niechcący zilustrować przysłowie „Mądrej głowie dość dwie słowie" albo i jakieś jeszcze lepsze.

MAMUŚKA

Jutro rusza 38 Wyścig Pokoju

Czy dołączymy do „wielkiej trójki"?

Już jutro, 8 maja, rusza Wyścig Pokoju. Nazywają go „majową imprezą", bowiem trudno wyobrazić sobie ten miesiąc bez migających po szosach Czechosłowacji, NRD i Polski kolorowych koszulek kolarzy i srebrzystych błysków szprych ich rowerów. WP mocno zadomowił się w wiosennym pejzażu i zdołał wytworzyć swoją legendę. Najstarsi jego kibice wspominają z łezką pierwsze wyścigi na trasie Warszawa-Praga oraz Praga-Warszawa; kiedy to ścigano się po ulicach i szosach niedawno uprzątniętych z wojennych ruin. Z roku na rok przybywało uczestników, doskonalił się sportowy sprzęt, zwiększała precyzja organizowania imprezy. WP stał się jednym z najważniejszych wyścigów świata dla amatorów. Zawody „Rudeho Prawa", „Neues Deutschland" i „Trybuny Ludu" stały się magnesem dla najlepszych kolarzy obu półkul.

Dziś niektórzy mówią, że WP stracił na atrakcyjności i popularności, że jest nudny i monotonny, że ma archaiczne niemal przepisy. Malkontenci mają trochę racji, ale nieprawdą jest, że wyścig się przeżył. Nudzi nas, bo od paru już lat startujący w nim Polacy obrywają spore lanie. Niech jednak znajdzie się następca **Wilczewskiego** albo **Królaka, Magiery** albo **Mytnika,** **Szozdy** albo **Szurkowskiego...** wszystko co monotonne stanie się nagle szalenie atrakcyjne.

Wyścig nadal wzbudza ciekawość. Świadczą o tym licznie zgromadzeni kibice, a także liczba ścigających się zespołów. Nawet malkontenci znowu zasiądą przed telewizyjnymi odbiornikami i podnieceni wpatrywać się będą w szklany ekran. Może ponownie popsioczą, ale przed końcówką kolejnego etapu jeszcze raz poczekają na ostateczny rozwój wypadków.

Zwyciężać chcą wszyscy, jednak mogą to uczynić tylko najlepsi, najlepiej przygotowani do różnorakich trudów. Na trasach między Pragą, Warszawą i Berlinem tych trudów nie brakuje. Długie etapy płaskie z bocznym i przeciwnym wiatrem, koszmarne wspinaczki górskie, krótkie i wyczerpujące „czasówki" (indywidualne i drużynowe), bywa, że w deszczu, gradzie, mrozie - oto niemal coroczna dramaturgia wyścigu. Słabeusze odpadają na pierwszych jego odcinkach, do mety - niezależnie od lokat — dojeżdżają tylko dobrzy zawodnicy. Ktoś kiedyś powiedział, że kolarstwo wymaga bohaterstwa.Trudno w tym stwierdzeniu doszukać się przesady lub patosu.

Nic więc dziwnego, że WP stał się wylęgarnią przyszłych mistrzów. Na szosach Czechosłowacji, NRD i Polski zdobywali kolarskie ostrogi późniejsi triumfatorzy najpoważniejszych imprez: igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata: Wymieńmy tylko bohaterów ostatnich kilku lat: Suchoruczenkow (ZSRR), Dragan i Raab (NRD) wygrywali i w WP, i podczas olimpiad, i MŚ. Podobnymi „szlakami" podążali wcześniej Szurkowski, Szozda, Kowalski, Lang...

Sędziowie i goście. Sędzią głównym 38 WP jest Szwajcar Luis Wermelinger, komisarzem medycznym (badania antydopingowe) obrano Francuza George'a Bousquet. Pozostałą część zespołu sędziowskiego stanowią arbitrzy z państw-organizatorów. Do Pragi zapowiedział swój przyjazd przewodniczący UCI (Międzynarodowa Unia Kolarska), Hiszpan Luis Puig.

Numery startowe: Polska 1-6, Szwecja 11-16, Czechosłowacja 21-26, Belgia 31-36, Holandia 41-46, NRD 51-56, ZSRR 61-66, Włochy 71-76, Szwajcaria 81-86, Norwegia 91-96, Dania 101-106, Finlandia 111-116, Francja 121-126, Rumunia 131-136, RFN 141-146, Węgry 151-156, Wielka Brytania 161-166, Bułgaria 171-176, Kuba 181-186, Jugosławia 191-196, Hiszpania 201-206.



Wyścig Pokoju zawsze wzbudza zainteresowanie. Kto zostanie zwycięzcą 38 WP?

Fot. **J. Łopuszyński**

- Jak potoczą się losy 38 WP? Z odpowiedzią trzeba powstrzymać się aż do zakończenia imprezy, a więc do 22 maja. Ale jedno jest pewne, że pierwsze skrzypce grać będą zawodnicy Czechosłowacji, NRD i ZSRR. Trenerzy **Kamil Hatiapka, Wolfram Linder i Wiktor Kapitonow** dysponują wysokiej klasy kolarzami i trudno sądzić, aby ktokolwiek pomieszał im szyki; Można się o tym przekonać po przejrzeniu składów osobowych wyżej wymienionych drużyn.. Do „wielkiej trójki" ma szansę przyłączyć się zespół polski. **Ryszard Szurkowski**, który w ubiegłym roku przejął opiekę nad naszymi reprezentantami, zna specyfikę WP jak mało kto. Tylko czy jego polecenia będą mogli wykonywać jadący w biało-czerwonych trykotach kolarze? Jeżeli tak się stanie — możliwe, że ponownie znajdziemy się w ścisłej czołówce majowej imprezy.

A teraz kilka zdań o samym wyścigu. Po prologu, w Pradze czekają zawodników trzy etapy w... Moskwie (przelot aerobusami „Aeroflotu"). Pierwsze niewiadome mogą zostać rozwiązane na olimpijskiej trasie Krylatskoje (II etap). Wąska i kręta szosa, gdzie rozgrywano „szosówkę" moskiewskich igrzysk (tam nasz Lang był drugi), sprzyja śmiałym ucieczkom. Jednak decydujące rozstrzygnięcia zapadną chyba na odcinkach górskich, między Jihlavą (Czechosłowacja) a Bielsko-Białą. Piszemy „chyba", bo wcale nie tu musi nastąpić taka rozgrywka. W latach poprzednich ataki mające wpływ na ostateczne lokaty następowały na nizinach.

38 WP liczy sobie 12 etapów plus prolog. Razem 1712 km. Zawodników oczekuje 37 lotnych i 9 górskich premii. Losy etapów rozstrzygane będą w różny sposób — na stadionach i ulicach. Przewidziane są „czasówki" indywidualne i drużynowe. Novum tegorocznego wyścigu jest numeracja kolarzy. Każdy zespół otwiera kolejną dziesiątkę. Dzięki temu łatwiej i szybciej zorientujemy się, kto właśnie przemknął obok nas.

I jeszcze jedno: 16 maja kolarze nie wyjadą na trasę — wezmą udział w manifestacji na terenie Obozu Oświęcimskiego, Zresztą cały wyścig przebiegać będzie pod hasłem 40 rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem. Trudno o godniejsze uczczenie tego wydarzenia.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

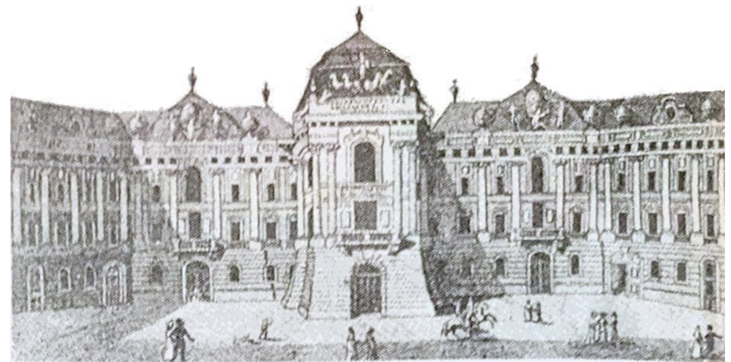
Trasa:

8 V ● prolog w Pradze - 6 km
9 V ● I etap - ulicami Moskwy - 130 km
10 V ● II etap - Krylatskoje -136 km
11 V ● III etap - wyścig drużynowy - Moskwa - 50 km
12 V ● IV etap – Praga-Jihlawa - 164 km
13 V ● V etap - Jihlawa-Ołomuniec - 172 km
14 V ● VI etap - Ołomuniec-Ostrawa -169 km
15 V ● VII etap - Ostrawa-Bielsko-Biała -186 km
17 V ● VIII etap - Bielsko Biała-Częstochowa - 189 km
18 V ● IX etap - Częstochowa-Warszawa - 199 km
20 V ● X etap - Szczecin-Neubrandenburg - 146 km
21 V ● XI etap - Neubrandenburg - jazda indywidualna - 35 km
22 V ● XII etap – Neubrandenburg-Berlin – 130 km



19 marca 1824 roku odbył się w Wiedniu pogrzeb, który miał być skromny i cichy,a stał się wielką manifestacją. Hrabia Józef Maksymilian Ossoliński pragnął, by pochowano go bez żadnej okazałości. Tymczasem przybyli go żegnać wszyscy przebywający wówczas w Wiedniu Polacy. Ponad dwieście osób! Młodzież na własnych barkach dźwigała trumnę. Polskie ręce złożyły ją w ziemi i przysypały...

Trzydzieści lat później wola zmarłego, który nie pragnął pomników, spełniła się... Cmentarz przestał istnieć, a prochy hrabiego spoczęły w anonimowej, wspólnej mogile. Przetrwało jednak do dziś dzieło jego życia - Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Instytucja niezwykła wyjątkowa na tle innych, słynnych bibliotek i wydawnictw. Mimo upływu ponad 160 lat od chwili powstania, wciąż działa w duchu mądrych postanowień swojego założyciela.



Pałac, w którym mieściła się Cesarska Biblioteka Nadworna w Wiedniu

AMOR LIBRORUM* (1)

Skarbiec podarowany narodowi

Pierwsza połowa XVIII wieku. Do Polski zaczynają przenikać ożywcze prądy Oświecenia. Król Stanisław August otacza życzliwą opieką ludzi nauki i sztuki. W doskonałym jezuickim kolegium w Warszawie zapoznawano uczniów z najprzedniejszymi dziełami autorów polskich, nauczano języków obcych, historii, geografii, matematyki i fizyki doświadczalnej w połączeniu z filozofią. Profesorami byli ludzie światli, którzy przenosili na grunt polski metody wychowawcze i programy nauczania z najlepszych zagranicznych wzorów. W tej znakomitej uczelni odbierał nowoczesne i wszechstronne wykształcenie Józef Maksymilian Ossoliński. Stamtąd też wyniósł przekonanie, że *raz zakorzenione nałogi myślenia i działania trwają póki życia*, i we wszystkich swych późniejszych poczynaniach pamiętał przede wszystkim o młodzieży.

„Święte Jagiełłów i Piastowe zbiory
Gnuśne próżniaków ozłociły dwory"

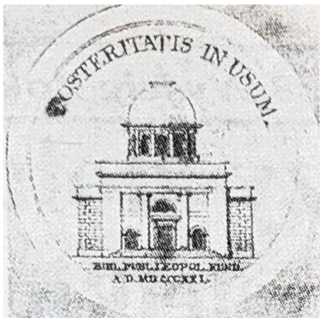
Tak grzmiał, nie bez podstaw, w „Głosie umarłych" znakomity nauczyciel Józefa Maksymiliana pisarz i historyk - Adam Naruszewicz. Ów stan rzeczy oburzał postępowo myślących Polaków.

Po III rozbiorze Polski (1795 r.) dotknął naszą kulturę wielki cios - Wywieziono do Rosji wspaniałe zbiory biblioteki braci Załuskich. A była to niemal całość dorobku piśmiennictwa polskiego. Najświatlejsi, ci, którzy umieli patrzeć i widzieć dalej niż granice swoich włości - zareagowali natychmiast. Ich działalność można by dziś nazwać wielką akcją ocalenia pamiątek dziejów ojczystych. Zaczęto je powszechnie zbierać i ochraniać. Jednym z najaktywniejszych i najmądrzejszych zbieraczy okazał się młody hrabia Ossoliński.

Na stałe mieszkał wówczas w Wiedniu, ale spraw polskich nie tracił z oczu. Zamiłowany bibliofil, erudyta, badacz i dyplomata, jedyny Polak uhonorowany na wiedeńskim dworze funkcją prefekta Cesarskiej Biblioteki - swój majątek, siły i energię oddał, by zabezpieczyć i ratować to, co uważał za najcenniejszy skarb narodowy.



◀ *Portret olejny Józefa Maksymiliana Ossolińskiego*



▲ *Projekt P. Nobilego fasady Biblioteki im. Ossolińskich we Lwowie*

Medal z portretem J.M. Ossolińskiego, ofiarowany mu za ufundowanie Biblioteki przez Stany Galicyjskie ▶

Hrabia – „książkołap"

Umiłowanie ksiąg było tradycją w rodzinie Ossolińskich. Piękne biblioteki posiadali Franciszek Maksymilian - podskarbi koronny, osiadły w Luneville, Józef Franciszek Salezy - wojewoda podlaski, a także ojciec Józefa Maksymiliana - Michał. Odziedziczone po przodkach księgozbiory stały się trzonem biblioteki hrabiego, która uzupełniania z pasją i znawstwem, rozrastała' się z dnia na dzień.

W każdej ważniejszej wyprzedaży (a było ich sporo - po rozwiązaniu przez cesarza zakonów kontemplacyjnych książki z klasztornych bibliotek znalazły się w handlu) - uczestniczył sam Ossoliński lub jego pełnomocnicy. Penetrował też księgozbiory, zakonów jeszcze nie zamkniętych, strychy i lamusy szlacheckich dworków; utrzymywał stały kontakt z księgarzami i antykwariuszami.

Książki wypełniały jego wiedeński dom. Nie mógł się już obyć bez stałej pomocy w porządkowaniu zbiorów. Zaangażował więc bibliotekarza - Samuela Bogumiła Lindego, przyszłego autora „Słownika Języka Polskiego". Znalazł w nim nie .tylko dzielnego, fachowego współpracownika, ale i kompana do książkowych polowań. „Pracowity Niemiec" tłukł się już wkrótce bryczką po Galicji uzbrojony w potężne wykazy poszukiwanych dzieł. Kupowali wiele, ale też nie wahali się pożyczać na imienne rewersy „na wieczne nieoddanie" i nawet od czasu do czasu, jak to nazywali, „zemknąć" jakiś rarytas, czyli mówiąc współczesnym językiem - ściągnąć. Była to oczywiście ostateczność, ale... korzystali z niej wszyscy ówcześni bibliofile.

Ossoliński był zbieraczem rozważnym i oszczędnym. Już wtedy nosił się z myślą, że biblioteka jego będzie służyć narodowi i musiał pamiętać o wydatkach, jakie go czekały w związku z zamierzoną fundacją. Nie łakomił się na kosztowne, luksusowe rzadkości, a szukał dzieł potrzebnych - użytkowych. Zbiór złożony początkowo głównie z dzieł obcych, powoli zaczął przekształcać się w bibliotekę ojczystą - dzieła wszystkich pisarzy polskich, które miały posłużyć do odtworzenia dziejów Polski, jej dorobku kulturalnego. Pragnął przeciwstawić go kulturze niemieckiej. Dlatego też gromadził również rękopisy, stare druki, ryciny, medale, dawne polskie monety itp. pamiątki.

Hrabia - mecenas

Od początku wiedeński dom i zbiory stały otworem dla wybitnych naukowców - badaczy słowiańszczyzny, historyków, filologów... Ale przede wszystkim służyły polskiej, studiującej w Wiedniu, niezamożnej młodzieży. Pod tym dachem znajdowała ona nie tylko gruntowne wiadomości o polskim piśmiennictwie, ale i... zarobek. Hrabia wybierał sekretarzy, bibliotekarzy i pomocników do porządkowania zbiorów, kopiowania rękopisów, przepisywania swych prac naukowych spośród Polaków. Ta opieka przerodziła się w akcję stałą, którą Ossoliński wprowadził do późniejszej fundacji Zakladu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie - ustanawiając w bibliotece stypendystów. Młodzież, odbywająca tam praktykę biblioteczną, uczyła się dziejów literatury polskiej i estetyki z ksiąg i od ludzi o najwyższych kwalifikacjach naukowych i moralnych.

Hrabia - zapobiegliwy

Cesarz austriacki Franciszek I w dniu 4 czerwca 1817 r. podpisał przywilej zatwierdzający „Ustanowienia familijne Biblioteki Publicznej pod imieniem Ossolińskich we Lwowie". Były to akty przemyślane w najdrobniejszych szczegółach przez przewidującego fundatora. Określone w nich zostały ramy organizacyjne instytucji, zapewnione fundusze na jej utrzymanie, a także sposób funkcjonowania Zakładu. Miał się on składać z biblioteki, drukarni (zalążek przyszłego wydawnictwa) oraz redakcji czasopisma literackiego. Księgozbiór miał być stale uzupełniany nowymi dziełami użytecznymi nauce. Zbiory miały być dostępne przez cały rok w godzinach, na które pozwalało światło dzienne. Dla zwykłych czytelników książki przeznaczone były do wykorzystania tylko na miejscu. Naukowcy cieszyć się zaś mieli w „Ossolineum" specjalnymi względami. Nawet po zamknięciu czytelni mogli korzystać ze zbiorów w mieszkaniu dyrektora i kustosza.

W „Ustanowieniach" Ossoliński starał się wybiec myślą w najdalszą przyszłość, przewidzieć wszystkie, możliwe niebezpieczeństwa zagrażające fundacji, od naturalnych kataklizmów jak pożar poczynając, po ... zmianę rządów na terenie Galicji. Nie mógł jednak przewidzieć wszystkich dziejowych burz, jakie stały się udziałem naszego narodu. I tak jednak „Ustanowienia" spełniły swą rolę, broniąc niezwykłego skarbca w niejednej ciężkiej chwili i co najważniejsze - do dziś pozostały aktualne w swym zasadniczym przesłaniu.

Przeszło wiek później biblioteka i wydawnictwo Zakładu Narodowego Ossolińskich znalazły przystań poza terenem dawnej Galicji, aż na Dolnym Śląsku, we Wrocławiu. Ale o tym nowym, choć wiernym tradycji rozdziale działalności Zakładu przeczytacie w numerze sobotnim.

Oprac. **EWA BIELSKA**
Fot. archiwum

* *Amor librorum* (łac.) - miłość do ksiąg

PRZYGODY

List z wakacji w NRD

Było nas (nie licząc dwóch 11-letnich maluchów) czterech „prawdziwych polskich mężczyzn". Ja, czyli Bogdan, Paweł vel Mały, Darek I czyli Sherlock Holmes i Darek II, a jak kto woli, Strażak. Już pierwszego .dnia przypądliśmy sobie do gustu. Byliśmy rówieśnikami. Od razu po przyjeździe podzieliliśmy łóżka i szafki. Potem niejednym się jeszcze dzieliliśmy. Najczęściej były to wrażenia, ale nie tylko.

Obóz nasz położony był w lesie. Otoczony zewsząd wysokimi drzewami sprawiał wrażenie leśniczówki zagubionej w gąszczu. Składał się z 7 baraków i stołówki będącej zarazem salą disco. Wszystkie zabudowania otaczały plac apelowy, na którym stał maszt z flagą FDJ.

Blisko obozu leżało, a raczej pływało, jezioro...

Panorama - kostium. -kolor, czyli Neptunalia

- No i pamiętajcie chłopcy, Paweł nie ziewaj, że na Neptunalia macie być najlepiej przebrani. O key? No, to koniec rozmowy. Na razie!

W taki sposób p. Regina zakończyła z nami rozmowę o programie na Neptunalia. Było to kilka dni przed imprezą. Ale jak to na obozie - po długiej bezczynności nic się nie chce robić. Tak i my wszystko zostawiliśmy na ostatni dzień. No i tego ostatniego dnia między godziną 12.00 a 14.00 musieliśmy wszystko przygotowywać.

Uradziłem z Pawełkiem, że robimy się na Masajów. A ściślej mówiąc - ja na Murzyna, on na Murzynkę. W tym celu nazrywaliśmy liści i wiążąc je sznurkiem zrobiliśmy dla siebie „ciuchy". jeszcze przed założeniem ich wysmarowaliśmy się dokładnie spalonym węglem. W nowej skórze wyglądaliśmy jak prawdziwi Masaje. Mieliśmy w dodatku kilka drobnych rekwizytów - toporek i 2 włócznie. Uroku mojej „Murzynce" dodawały korale z jarzębiny i łańcuszek na szyi. Ponieważ wyglądaliśmy bardzo malowniczo, wcielono nas do „Gwardii Neptuna". Do naszych obowiązków należało zmuszanie zwykłych śmiertelników do posłuszeństwa oraz łapanie uciekających przed świętym obrzędem nadania imienia. Ale najgorszym obowiązkiem było pchanie łódki z Neptunem. Z dna jeziora bowiem wystawały kilkucentymetrowe ostre dziobki kłującej trzciny wodnej. Chodzenie po takim gruncie nie było zbyt przyjemne. Ale czego się nie robi dla sprawy... Tak więc na krzyk czekającego na nas tłumu armada nasza składająca się z 2 łódek wypłynęła zza trzciny i skierowała się ku brzegowi. Po wyjściu na brzeg ustawiliśmy się w szeregu. Obok nas, pupilków Neptuna, stali pachołkowie oraz dwie jego córki. W sumie było nas ponad 10 osób. Dopiero po przywitaniu (wszyscy musieli być przy tym na kolanach) rozpoczęła się właściwa ceremonia.

Neptun po kolei wywoływał każdego chrzczonego. Ten chciał uciekać, ale cała gromada została wcześniej otoczona przez „Gwardię Neptuna". Ta łapie delikwenta i z lubością patrzy potem na jego cierpienia. Najpierw wybraniec smarowany był pianą, a potem „golony" gigantyczną brzytwą. Następnie posiłało się go specjalną zupką. Płuł przy tym niemiłosiernie, klął tego, kto przyrządzał potrawę. Mnie i Pawłowi „zupka" smakowała - próbowaliśmy ją wcześniej i gdyby Neptunalia zaczęły się troszeczkę później, nieszczęśnicy nie' mieliby co jeść.

Po „podwieczorku" następował chrzest wodny. Kilku osiłków' pogrążało chrzczonego, bez względu na wiek i płeć, w H_2O i wyciągało. Gdy już wszyscy byli ochrzczeni, Neptun pożegnał szczurów lądowych i... zmuszony został wraz z nami do ucieczki. Tłum obozowy podburzony przez stutorowanych rozpoczął frontalny atak na władcę wód i jego świtę. Wobec nacierających, liczniejszych i lepiej uzbrojonych nieprzyjaciół, rozpoczęliśmy odwrót. Za nami rzuciła się cała banda pałająca chęcią zemsty. Ale nasi drogo sprzedawali swoje życie. Albo uciekali tak, że nie można było ich za nic dorwać, albo postanawiali walczyć do końca. Postąpiłem tak, jak ci drudzy, rzuciłem się w wir walki. Przerywam łańcuch okrążenia i wieję w kierunku łódki z Neptunem; szczelnie obstawionej'przez naszych. Z tego starcia wyszliśmy zwycięsko. Neptunowi nic się ńie stało; „poturbowano" jedynie kilku jego dzielnych obrońców.

Wyśźliśmy z Pawłem z całej tej afery obronną ręką. Nikt nas nie podtopił, natomiast my kilku osobom daliśmy się napić wody. Ale całą tę ucieczkę musieliśmy odpokutować. Na samo mycie z węgla poświęciliśmy całe dwie godziny! Brrr! Obiecałem sobie, że nigdy, na żadną okazję podobnie się nie przebiorę. Nigdy! Brrr!

Brasil-futbol, czyli Wielki Mecz

Bardzo lubiliśmy zawody sportowe polsko-niemieckie. Ale przeważnie przegrywaliśmy. Jedynie grając „w nogę" mieliśmy coś do powiedzenia. A raczej oni nie mieli wtedy nic do powiedzenia. Kiedy więc nie wiodło się nam w lekkoatletycznej rywalizacji, wypowiadaliśmy Niemcom mecz piłki nożnej. Już po pierwszym meczu okazało się, że bijemy naszych przeciwników na głowę - 12:3 dla nas. Nie daliśmy im cienia szansy. W każdym kolejnym meczu mogli liczyć tylko na cud. Ale cuda zdarzają się bardzo rzadko i takowy u nas nie miał miejsca. Mecze z naszymi obozowymi kolegami stały się nudne.

Kiedyś wywiązała się taka rozmowa:

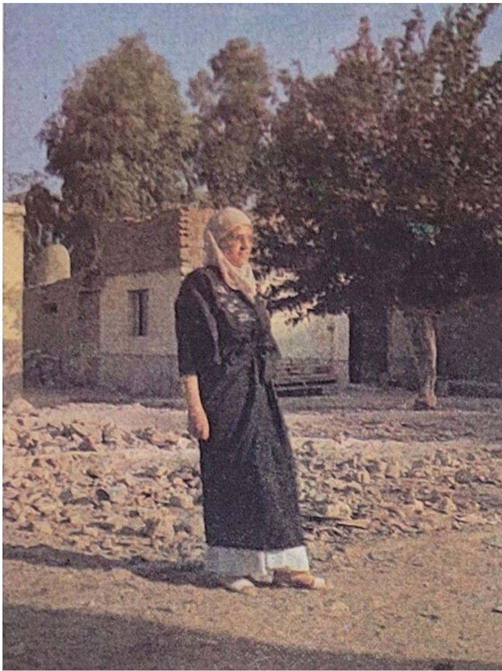
- Przydałby się lepszy przeciwnik, no nie?
- Prawdą Pawełku, święta prawdą - poparł kolegę Sherlock.
- Ale kto? - zapytałem.
- Nooo... Może inny obóz...
- wtrącił nieśmiało swoje trzy grosze Strażak.
- Świetny pomysł!!! Lecę do „staruszki", może ona coś wykombinuje - wrzasnął Sherlock i już go nie było.

W poprzednim numerze „Świata Młodych" pojechaliśmy śladami Ferdynanda Lessepsa. Naszym przewodnikiem jest inż. Wojciech Imielski, który w ubiegłym roku pracował w Egipcie przy ochronie upraw bawełny, opryskiwanych z powietrza za pomocą naszych samolotów typu „Kruk", produkcji WSK-Okęcie. Dziś „nasz człowiek" opowiada o pracy ekip

Z „KRUKAMI" NAD NILEM (2)

Hajże na szkodniki!

Bawełna, lub botanicznie dokładniej - bawełnica (Gossypium), to w wypadku upraw egipskich krzew mający 0,5 do 2 m wysokości; najważniejsza na świecie roślina włóknodajna, uprawiana i użytkowana od kilku tysięcy lat. Owoc bawełny tworzy torebkę z nasionami pokrytymi jednokomórkowymi włoskami. Te włoski - to właśnie włókno, służące do wyrobu nici, przędzy, dzianin, tkanin, waty. Z nasion otrzymuje się olej bawełniany, używany jako tłuszcz kuchenny, do produkcji margaryny oraz do celów technicznych. Uprawa bawełny - to główna gałąź egipskiego rolnictwa; więcej - kraj ten jest światową potęgą bawełnianą. Nic więc dziwnego, że uprawy tej rośliny trzeba nie tylko odpowiednio nawadniać, ale także pilnie strzec przed szkodnikami. Stąd nasza obecność w Egipcie i wieloletnie kontrakty na opryskiwanie bawełny z powietrza.



Mieszkanka Benha el Gedida, żona naszego gospodarza

W BAZIE BENHA

Nasza baza - główne lotnisko i warsztat - znajduje się nad Nilem, w miejscowości Benha el Gedida. Gedida – znaczy nowa; więc w Nowej Benhie. Od Kairu - stolicy państwa - dzieli Benhę odległość ok. 50 km. Sklepy, centrum administracyjne, most nad rzeką; Nil w tym miejscu przecina autostrada Kair-Aleksandria. Obszar naszych działań - to część Delty Nilu, jeden z najbardziej nawodnionych terenów Egiptu.

Bo wszystko zaczyna się tu od wody. Bawełna też: tam, gdzie jest możliwość wystarczającego nawodnienia, da się ją uprawiać. A skąd brać wodę w kraju, gdzie tylko raz na kilka miesięcy przeżyłem deszcz i to tylko piętnastominutowy? Oczywiście, z Nilu. Aż trudno uwierzyć, jak rozgałęziony jest system kanałów, kanalików, grobli, zapór i przepustów doprowadzających wodę z rzeki na pola. Jedną z najczęstszych reklam w tej części Delty są afisze zachwalające pompy różnego systemu, a najczęściej słyszanym głosem wśród pól - stały warkot silników tych pomp, przelewających ustawicznie wodę z kanałów na uprawy.

Egipski fellach - rolnik - ma od wieków chyba zakodowaną umiejętność takiego niwelowania pola, by woda równomiernie docierała do wszystkich jego zakątków. I jeszcze jedno - potrafi pracowicie wieczorem przekopać kanałową groblę i zrobić przepust dla nawodnienia pola, a o świcie starannie zasypać ten przepust, bo przecież groblą biegnie terenowa droga, użytkowana przez innych mieszkańców wsi. W obu tych pracach głównymi narzędziami są motyki i łopaty. Kanałem nawadniającym też grozi niebezpieczeństwo - „piękny wróg", czyli hiacynt wodny. Rozrasta się z nieprawdopodobną szybkością, tworząc na powierzchni zielony kożuch, hamujący przepływ wody. Kwiat-wróg...

ZA STERAMI „KRUKA"

Akcja opryskowa zaczyna się w kwietniu, kończy we wrześniu.

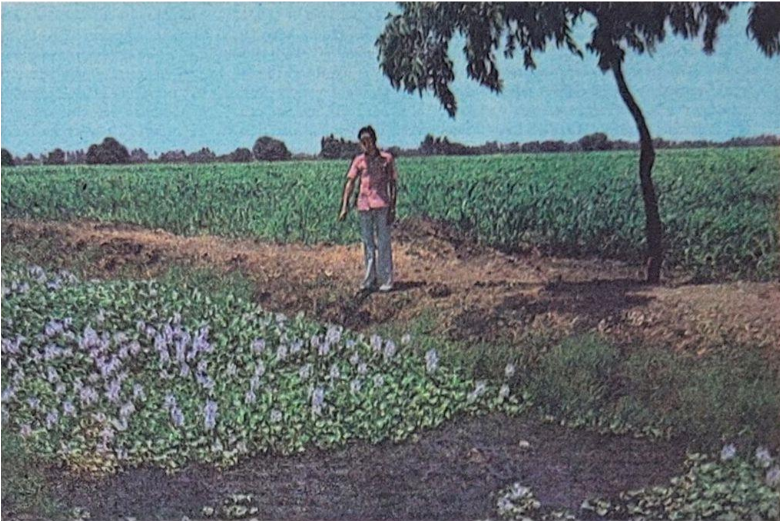
Oprysków jest kilka, trwają po ok. 10 dni; nie lata się zresztą bez przerwy. Najważniejsze jest to, by nie dać szkodnikom zaatakować kwiatów bawełny - bo wtedy uprawy są stracone. Terminy określa precyzyjnie strona arabska. Jak więc wygląda dzień roboczy pilotów i obsługi zaplecza?

Zaczyna się o świcie, w bazie. Studiowanie komunikatów meteo, techniczny przegląd samolotów, zezwolenia na start, ustalenie obszarów oprysków. Plantacje są różnego rodzaju i kształtu, mniejsze i większe, do każdej trzeba znaleźć najlepsze „przejście". Wylot z bazy po śniadaniu na polowe lotnisko - pilot i mechanik. Tam czeka zapas płynnych chemikaliów i paliwa. Napełnianie zbiornika. Ponad tysiąc litrów trującego środka uniesie „Kruk" w powietrze.

Start z twardej ubitej ziemi. Na kolanie pilota mapa, plan z naniesionymi m. in. trudnymi i niebezpiecznymi punktami. Na razie można nabrać wysokości. Kierunek - zespół pól. Tu dopiero trzeba obniżyć lot do granicy bezpieczeństwa. Uwaga, na brzegu pola, nad kanałem - grupa palm! Na drugim końcu, wzdłuż grobli - linia telefoniczna! I oto już „Kruk" na pasie oprysku. Jeden ruch ręką uruchamia agregat rozpylający: za samolotem wyrasta jakby welon białej mgły. Dysze, usytuowane wzdłuż płatów, wyrzucają drobiny środka ochronnego. Na pohybel wołkowi bawełnianemu, który - być może - tam w dole usiłuje znieść jaja...

Ostrożnie! Pilotowi nie wolno ani na chwilę zamyślić się! Bo oto na linii lotu „Kruka" wyrasta gustowny minarecik wiejskiego meczetu. Agregat stop! Płynny zwrot i znów nad plantację, ale tak, by nowy pas truciny zachodził na ten pierwszy „na zakładkę". Nasi piloci robią to po mistrzowsku i cieszą się w Egipcie zasłużoną sławą. Przy tej robocie konieczne jest absolutne zgranie pilota i maszyny w jeden organizm. Tu nie można, jak w wielkim samolocie komunikacyjnym, włączyć wspomagającego komputera czy pilota automatycznego. Potrzebne jest ciągłe, maksymalne napięcie psychiczne człowieka, błyskawiczna orientacja i gotowość wykonania tego właśnie jedynego, niezbędnego w tym momencie manewru. Uff!

Migają wskaźniki. Więc lądowanie, napełnianie zbiorników chemikaliami i paliwem. Start... Nowa plantacja, oprysk trwa! I tak bez przerwy, powrót do bazy - przed wieczorem.



Kwiat-wróg - hiacynt wodny, wielkie niebezpieczeństwo dla egipskiego systemu nawadniania

PLAGI, UROKI, PRZYGODY?

Tu można „sprawdzić się", to jest niewątpliwie praca dla mocnych ludzi. Odpornych fizycznie i psychicznie nie tylko na codzienny trud, ale także na długotrwałą rozłąkę z domem i rodziną, na odmienne zjawiska klimatyczne i związane z tym niedogodności. Ot, choćby takie. Na początku pobytu naszej ekipy myśleliśmy, że mamy jakieś uczulenie skórne i drapaliśmy się po swędzących przedramionach, po nogach. Lekarz przepisał nam nawet jakieś leki. Wkrótce okazało się jednak, że to wina kłujących owadów. Niemal niewidoczne, mniej więcej dwumilimetrowe, podobne do naszych mszyc; siadały na odkrytych kończynach, kłuły i spijały naszą krew. Praktycznie nie było na nie lekarstwa.

No, tak; ale różne przygody - powie ktoś - ciekawe miejsca i ludzie. A przede wszystkim - pozostałości starożytnej egipskiej kultury... O tej właśnie sprawie — w trzecim i ostatnim odcinku (w numerze sobotnim).

Spisał: **JAST**

Zdjęcia: **Wojciech Imielski**

„WIELKIEJ CZWÓRKI"

- I co? - spytaliśmy Holmesa kiedy wrócił;

- Załatwione! Powiedziała, że się postara!

Postarała się. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że za dwa dni gramy z sąsiednim obozem. Od razu zaczęliśmy się przygotowywać. Ćwiczyliśmy opanowanie piłki, drybling i strzały. Trzeba było przygotować się kondycyjnie. W tym celu biegaliśmy na dłuższe dystanse.

Nadszedł w końcu upragniony przez nas dzień. Od 6 rano byliśmy na nogach. O 7.30 poszliśmy na śniadanie. Myślę, że było pyszne, myślę, bo go nie jadłem. Po prostu, gdy zjem, przed wysiłkiem, potem źle się czuję.

O 9.30 wyruszyliśmy na boisko. Było ono oddalone od naszego obozu o ok. 13 km, a może więcej? Szliśmy całym obozem. Na miejscu mogliśmy obejrzeć boisko i piłkę. Boisko było świetne - długie na ok. 100m, na 50 m szerokie. Mniejszy entuzjazm wywołała piłka.

- Przecież to sześcian! Jak tym pudłem można grać?! - wykrzyknął Paweł. Ale nie było wyjścia.

Punktualnie o 10.00 zaczęliśmy mecz. Praktycznie nic nie wiedzieliśmy o przeciwniku. Ten jednak szybko się nam przedstawił. Jego gra opierała się praktycznie na dwóch zawodnikach: stoperze - świetnie zbudowanym blondynie i szybkim, dobrze dryblującym napastniku. Reszta ich tylko wspomagała. Ale wspomagała dobrze. Właśnie oni zdobyli pierwszą bramkę w 3 minucie. Chwila nieuwagi naszej obrony i napastnik umieścił piłkę w naszej siatce

Postanowiliśmy zmienić ustawienie. Wszystkich zawodników przesunęliśmy na obronę. W przodzie jako libero został Sherlock, a na ataku ja, Paweł i nasz niemiecki kolega Andreas. Taka taktyka miała jedną bardzo ważną zaletę. Przeciwnik nie mogąc przedrzeć się pojedynczym zawodnikiem pod naszą bramkę, musiał zastosować, atak pozycyjny. No i wtedy się odsłaniał. Taktyka ta zaczęła owocować prawie od razu. Sherlock „puścił" silną piłkę prawą stroną linii ataku. Podbiegł do niej Paweł, kiwnął dwóch przeciwników i podał bardziej do środka. Piłka uderzyła o murawę i „siadła". Obrońcy stali jak przyklejeni do trawy. Wyrwałem do przodu i za chwilę byłem sam na sam z bramkarzem. Był jednak zbyt duży kąt strzału i duże ryzyko niestrzelenia. Przeturlałem piłkę do środka. Zmyliło to bramkarza.Piłkę przechwycił Andreas i okazji nie zmarnował. 1:1.

Teraz walka się wyrównała. Obie drużyny czyhały na wzajemne błędy, nie odsłaniały się. Gra stała sę ciężką harówką. Jeszcze tylko kilkanaście sekund do pierwszej połowy. Sherlock podał do najmłodszego w drużynie Gido. Ten ograł swego przeciwnika i puścił wysoką piłkę w przód. Doszedłem do niej i strzeliłem od razu z powietrza. Piłka zmierzała wprost do bramki, ale jeden z obrońców wybił ją. Tak więc - tylko róg.

- Kopnij Bogdan! - krzyknął Darek. - Na łeb!

- O key! - Ustawiłem piłkę i kopnąłem. Starałem się podkręcić ją tak,, by wykonała łuk i wylądowała na głowie Sherlocka. Ale ona, diabelnie mocno podkręcona, rzeczywiście zatoczyła łuk, ale nie wylądowała na żadnej głowie, tylko... w okienku bramki przeciwnika! Jest! Nareszcie!

Pierwsza połowa kończy się wynikiem 2:1 dla nas. Jesteśmy bardzo wyczerpani.

Już pierwsze minuty drugiej połowy pokazały, że przeciwnik nie wytrzymał kondycyjnie. Uzyskaliśmy wyraźną przewagę. Andreas strzelił jeszcze dwie bramki i resztę meczu mięliśmy z głowy. Wygrywaliśmy 4:1, do końca meczu była tylko minuta... I wtedy nasi przeciwnicy desperacko zaatakowali. (Były to, jak to określił potem Paweł, „ostatnie podrygi zdychającej ostrygi"). Jeden z ich zawodników nic sobie nie robiąc z naszych obrońców zmierzał prosto do bramki. Dopiero Holmes zmusił go do poddania.

- Teraz twoja kolej - powiedziałem sobie. Wyskoczyłem co sił do piłki. Kątem oka dostrzegłem, że jeden z przeciwników chce zrobić to co i ja.

Niedoczekanie - przeleciało mi przez głowę. Prawie jednocześnie dopadliśmy piłki, jako że miałem dłuższe nogi, wybiłem piłkę w „pole". I on chciał zrobić to samo. A przecież piłki już nie było na miejscu. Za to była moja noga. Chcąc jak najszybciej dostać piłkę wziął potężny zamach i... trafił w moją nogę.

- Auuu! - rozległo się na boisku. Leżałem juz na trawie. Mój przeciwnik stał nade mną z głupią miną. Byłem bardzo zdenerwowany, a w dodatku zmęczony i spocony. Kopnięcie podziałało jak zapalnik. Zerwałem się.

- Ty... - moją pięść zatoczyła klasyczny łuk i... dłoń wyprostowała się. Wyciągnąłem rękę w geście zgody i pojednania. Stojący naprzeciw mnie chłopak z początku przeraził się moim gwałtownym gestem. Ale potemu uśmiechnął się i uścisnął moją rękę. Poklepałem go przyjaźnie po plecach. Byłem tak przejęty tą sytuacją, że nie zmartwiła mnie nawet strzelona nam druga bramka.

Po końcowym gwizdku odbyła się dekoracja. Dostaliśmy złoty medal, przegrani musieli zadowolić się srebrem. Po ceremonii postanowiłem pożegnać się z moim przeciwnikiem z boiska. Z radością zauważyłem, że on również zmierza w moją stronę; Wyciągnąłem dłoń - teraz się już nie przestraszył. Uśmiechnął się, Ja też.

I teraz, gdy patrzę na „złoty medal" wywalczony wtedy, zawsze przychodzi mi na myśl „boiskowy przyjaciel".

Bogusław Słotwiński
Słubice

Na tym kończymy druk prac nagrodzonych i wyróżnionych w konkursie: „List z wakacji w NRD".

Listy, sprawy i sprawki czyli nasz remanent

Znów trzeba zacząć sprzątanie od stale powtarzającego się walca z fan-clubami. Miłośnicy trylogii Lucasa to bardzo prężna i często pisząca grupa czytelników. Szkoda tylko, że przy okazji ożywionych korespondencji i kontaktów między nimi samymi, dochodzi wciąż do nietaktów - i to czasem grubych. Fan-club „Falcon Millenium” z Legnicy przysłał sympatyczny list, którego część adresowana jest do czytelników: *Działamy dopiero miesiąc, a mamy około czterech tysięcy członków (...) Informujemy wszystkich, którzy do nas napisali, że ich listy nie zostaną bez odpowiedzi, poza tymi, których autorzy nie wyrażają chęci wstąpienia do fan-clubu. Na koniec prośba: piszcie wyraźniej, bezbłędnie (przyszedł list w którym było szesnaście błędów ortograficznych!), przysyłajcie także znaczki za 10 złotych.*

Z drugiej strony - **Marcin z Legnicy** miał związaną z tym fan-clubem bardzo przykrą przygodę. Kiedy zadzwonił pod zamieszczony na naszych łamach numer telefonu, spotkał się z odpowiedzią, którą trudno określić inaczej niż chamską. Przypuszczamy, że założyciele fan-clubu pochopnie podali ów numer (zapewne prywatnego mieszkania) i była to reakcja człowieka zirytowanego dziesiątkami telefonów. Ale nikt ich przecież do podawania tego numeru nie zmuszał...

Za propozycję wypożyczenia nam fotosów - dziękujemy, nie skorzystamy. Nie dlatego, że cierpimy na ich'nadmiar, ale ponieważ jesteśmy-miłośnikami kina w ogóle i nie chcemy ograniczać się wyłącznie do gwiezdnej trylogii.

Potwierdza się też wiadomość, że nieaktualna jest skrytka w Elblągu. Swoją drogą oczekujemy od Tomasza Borkowskiego listu z wyjaśnieniem na ten temat.

Izabela Nojek (ul. Bukowa 19 /3, 20-353 Lublin), która zgłasza się do Skrzynki Kontaktowej, oferując w zamian za fotosy z gwiezdnej sagi plakaty popularnych zespołów polskich i zagranicznych oraz adresy firm (?) pyta, również w imieniu koleżanek jak założyć fan-club: *Słyszałyśmy, że trzeba mieć list od któregoś z aktorów. Mamy adresy, lecz żadna z nas nie umie pisać po angielsku. Nie wiemy też skąd brać zdjęcia i plakaty, aby wysyłać je przyszłym członkom. A może na apel w „ŚM" zareagowaliby ci, którzy posiadają zbyteczne im materiały?* O to samo właściwie molestują **Robert i jego koledzy z Opola** i jeszcze kilka osób. No, cóż. Trudno zakładać fan-club nie dysponując materiałami. Jak i wszystkie - tego rodzaju akcja wymaga wcześniejszego przygotowania się - może na początku drogą indywidualnej wymiany, bez nadawania sobie szumnych nazw... List od aktora? Nie, to nie jest konieczne. Swoją drogą nie wierzymy, by wśród Waszych znajomych, nie było nikogo kto by się podjął przetłumaczyć Wasz list.

Istnieje szansa, że uzyskałybyście odpowiedź (gwiazdorzy na ogół mają swoich sekretarzy, którzy odpowiadają w ich imieniu na listy) i byłoby to dla Was po prostu cennym zaczątkiem zbioru.

Fan-club z Warszawy, z ul. Tarnowieckiej, jakoś ciągle nie radzi sobie z odpowiedziami na listy. **Bożena z Wrocławia** czeka już rok! Straciła nadzieję i prosi o nowy adres, Bożeno! Może jednak odpowiedź przyjdzie, a jeśli nie - zaryzykuj list do Tarnobrzega. Tam dopiero powstaje (fan-club i oferuje pierwszym pięciu korespondentom fotosy z „Powrotu Jedi”. Uwaga! Adres: **Fan-club „Star Wars” - „Jedi Ritter”, ul. Waryńskiego 8/30, 39-100 Tarnobrzeg..**

I jeszcze odwrotna strona tego samego medalu. Aż 250 listów otrzymała autorka recenzji opublikowanej po ubiegłorocznej LAG - **Małgosia z Raszyna**. Oto co pisze: *Ponad połowa zawierała prośbę o streszczenie „Powrotu" (co kilka miesięcy temu stanowiło nie lada gratkę) lub też o zdjęcia. Na takie listy z reguły nie odpowiadałam - za co chcę przeprosić tych, którzy czekali na odpowiedź. Myślę jednak, że potrafią mnie zrozumieć - nie posiadam prywatnego atelier fotograficznego, aby zaś podołać zadaniom 100-krotncgo przepisania streszczenia, musiałabym zatrudnić sekretarkę. Poza tym uważam, że żadne opisy nie są w stanie oddać atmosfery filmu. W pierwszej kolejności odpowiedziałam tym, którzy przesłali już w pierwszym liście znaczek. Do każdego listu podchodziłam inaczej, w odpowiedź wkładałam całą swą inwencję. Nie lubię być wykorzystywana, ale tak właśnie się czułam, gdy tylko 5 do 6 osób odpisało na pierwsze moje 40 odpowiedzi. Odtąd nie traktowałam poważnie błagalnych próśb na obszarpanych ćwiartkach papieru z licznymi błędami orograficznymi. Starałam się, i czynię to nadal, aby nawiązywać kontakt z ludźmi, którzy za pomocy tak opornego środka, jakim jest słowo, umieli się przedstawić ciekawie. Jeśli pragniecie pisywać, to od początku dajcie odczuć, iż szanujecie i ufacie drugiej osobie, znanej tylko z listu. (...)*

Obiema rękami podpisujemy się pod listem Małgorzaty, uważając, że wśród starannych korespondentów na pewno jest mniej zawiedzionych!

Zaczyna brakować miejsca na dalsze sprawy - o nich następnym razem. Jeszcze tylko kilka - w skrócie. Na razie wielbicielom Isaury, czyli Lucelii Santos pomóc nie możemy. Zdjęć z „Człowieka z Suezu” nadal nie mamy. Nie będziemy prowadzić zimowej, ani wiosennej Akademii „Gwiazdozbioru”. Nasza Akademia istnieje wyłącznie latem (ale ono już za pasem). Do tego - musimy rozczarować **Mirka z Biecza** - nie poświęcimy jej potworom, jako że japońskich filmów z nimi właściwie już nie ma na ekranach. Myślimy, że w kompletowaniu „king-kongowatych” i „godzillowatych” zdjęć mogliby Ci pomóc czytelnicy, ale nie upoważniasz nas do opublikowania adresu. Napisz jeszcze.

Krzysztofa z Nowego Stawu informujemy, że nie dysponujemy zdjęciami z teledysków, bo nie są one przedmiotem zainteresowania „Gwiazdozbioru”. **Katarzyno z Bytomia**! Nie mamy możliwości (miejsce!) drukowania ogromnych plakatów.

Piotra ze Strugi zawiadamiamy, że konkurs nt. będącego w realizacji filmu „Podróże Pana Kleksa” ogłosimy na początku czerwca, byście mieli cale wakacje na przygotowanie pracy. Na razie powtarzamy - skąd się da (czyli z prasy) wycinajcie wszystkie zdjęcia z planu tego filmu i przechowajcie je.

Marian Kempkowski (ul. Lubelska 24/5, 30-003 Kraków) pragnie prowadzić wymianę zdjęć z gwiezdnej serii Lucasa i zdjęć z filmów Spielberga. Dysponuje też zdjęciami polskich zespołów rockowych.

Powtarzamy jeszcze raz! Nie przysyłajcie w kopertach pieniędzy ani znaczków na odpowiedź. Do następnego razu!

(**eb**)





▲ *Na życzenie czytelników drukujemy zdjęcie z TV filmu nakręconego w RFN z udziałem Ewoksów z „Powrotu Jedi". Rzecz dzieje się oczywiście na planecie Endor. Rozbija się na niej mały spacerowy statek kosmiczny, na którego pokładzie znajduje się 14-letni Mace z młodszą siostrą Cindel i rodzicami. Rozbitkom grozi niebezpieczeństwo że strony potwornego, wielkiego jak dom Goraxa. Gdyby nie spotkanie z pełnymi uroku, przyjacielskich uczuć i pomysłowości Ewoksami, ich przygoda skończyłaby się tragicznie.*

Fot. „Bravo"



SZYJA OTULONA

Różne osoby różne mają w tym względzie zamiłowania i przyzwyczajenia. Jedne dziewczyny lubią być zapięte pod samą szyję, inne - najlepiej się czują z mniejszym lub większym dekoltem. I bardzo dobrze; ciuchy, są w końcu między innymi i po to, żeby mieć dzięki nim dobre samopoczucie. Fajnie, że moda jest teraz taka... sprzyjającą indywidualnym gustom i można się ubierać, jak kto lubi, a nie jak rozkazuje autorytatywnie owej mody jakiś dyktator.

Tym z Was, które gołej szyi „nosić” nie lubią, chciałam dzisiaj podpowiedzieć, że wcale nie są w związku z tym skazane na zapięte kołnierzyki lub golfy. Bardzo modne są różne otulacze. Różne szale, szaliki i szaliczki, apaszki, krawaty-wiązadełka... Różnej długości, szerokości, grubości, różnego koloru i o różnym charakterze.

Przywykło się uważać, że takie rzeczy szaliko-podobne nosi się do płaszcza lub kurtki. I, że jak się ten płaszcz czy kurtkę zdejmuje, to szalik także. A przecież równie dobrze może to być przecież ciuch samodzielny, ot, jeszcze jeden dodatek, czy jak kto woli - ozdoba. Taka sama jak korale, bransoletka, pasek...

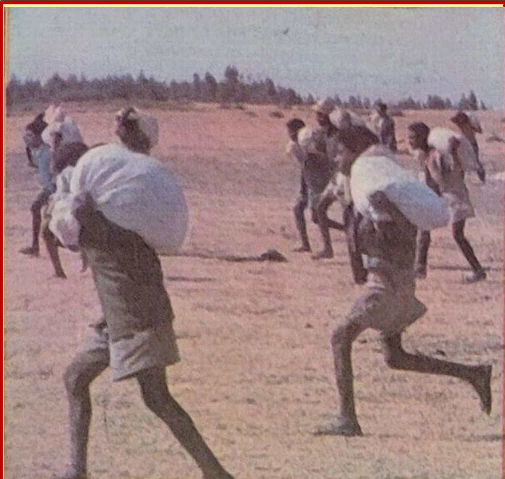
Owe modne otulacze szyi są różne jeszcze i w tym sensie, że różnie się mogą mieć do całości stroju; Mogą byćz nim zgrane, wpasowane w jego tonację, albo wręcz przeciwnie - krzycząco kontrastowe. I tak jest dobrze,- i tak też; jak kto woli.

A na koniec.chciałam dodać jeszcze jedno. Mamy maj, cieszymy się, że jest nareszcie ciepło. Tylko że to wczesne ciepło bardzo potrafi; być zdradliwe. Więc w tym momencie taki otulacz szyi to nie tylko modna ciekawostka, ale również coś szalenie praktycznego, dzięki czemu można uniknąć przeziębienia. I tę wiadomość polecam Wam wszystkim, również - a może przede wszystkim - zwolenniczkom dekoltów!

RIUSZKA

DOM MODY

świata młodych



Jeżeli Ty, Twoja klasa. Twoja drużyna chcielibyście wzbogacić fundusz pomocy dla Etiopii, to wpłat dokonujcie na konto nr 1153-1717, XV O/M NBP Warszawa, z dopiskiem „Pomoc".

Fot. L. Dzikowski

Uwaga Miłośnicy Morza!

KLUB ZDOBYWCÓW OCEANÓW

Powtarzamy za audycją „Latającego Holendra", którą obejrzeliście w dniu 3 maja

ZADANIE MIESIĄCA:

Kto i za jaki żeglarski wyczyn zdobył nagrodę REJS ROKU 1984?

Rozwiązania prosimy nadsyłać na kartkach pocztowych do końca miesiąca pod adresem: Klub Zdobywców Oceanów „Latający Holender" TV, 80-247 Gdańsk, ul. Sobótki 15.

PTAK... KREWNY KROKODYLA!

(PAP). Archeopteryks - żyjący 150 mln lat temu, przodek współczesnych ptaków, wzbudza ogromne spory uczonych. Zębaty stwór, posiadający już pióra i zaczątki skrzydeł, uważany jest za formę przejściową gadów do ptaków. Do dziś jednak nie rozstrzygnięto, w którym miejscu w łańcuchu ewolucji można umieścić archeopteryksa. Obecnie znamy już 6 kompletnych szkieletów tych zwierząt. Znane są także liczne skamieniałe szczątki - najstarszych form ptaków. Uczeni nie są zgodni czy jest to forma przejściowa, czy też boczna gałąź na drzewie ewolucji. Nie rozstrzygnięto w sposób jednoznaczny, czy archeopteryks jest jeszcze gadem, czy już ptakiem.

Wysuwano też zastrzeżenia, że budowa kości archeopteryksa uniemożliwiała mu aktywny lot, mógł co najwyżej polatywać albo szybować. Czaszką tego praptaka przypomina czaszkę krokodyla. Wysunięto nawet hipotezę o wspólnym przodku. Najważniejszą cechą „krokodylową" u archeopteryksa są zęby. Spór nie został jeszcze rozstrzygnięty, ale można mówić o pewnym ewolucyjnym pokrewieństwie współczesnych ptaków i krokodyli:

Czy powstaną pojazdy antygrawitacyjne

Obecnie prowadzone są na szeroką skalę badania w dziedzinie astronomii astronautyki i dziedzin im pokrewnych. Sama astronomia stała się nauką bardzo popularną, szczególnie w kręgach młodzieży. Powitało mnóstwo klubów i stowarzyszeń, których członkowie ze wszelkich dostępnych im źródeł, starają się zgłębić tajniki kosmosu. Człowiek jest stworzeniem ambitnym i b. rzadko poprzestaje na wcześniej uzyskanych wynikach. Czując niedosyt wiedzy o kosmosie wystrzelił w kierunku Księżyca sputniki i sztuczne satelity, wreszcie sam postawił nogę na „Srebrnym Globie".

Przygotowując się do następnego „skoku" prowadzi się badania nad konstrukcjami statków i ich silnikami. A ponieważ najbardziej optymalny kształt statku jest faktycznie znany, jeszcze większy nacisk położono na nowe rodzaje silników i paliw. Stosowane dotychczas paliwa chemiczne nie nadają się do dalekich podróży międzygwiezdnych ze względu na ieh małą wydajność. Pewne nadzieje pokłada się wprawdzie w silnikach o napędzie atomowym i termojądrowym, ale jak na razie przerażają nas ich przypuszczalne rozmiary i ciężar (istnieją projekty takich silników, lecz np. szerokość dyszy wylotowej według nich musialaby wynosić kilkaset metrów). Dlatego też poszukuje się zupełnie nowych rodzajów paliw oraz sposobów ich przemiany na potrzebną energię.

Ostatnio wiele się mówi na temat grawitacji. Prowadzone są intensywne badania zmierzające do naukowego udowodnienia istnienia fal grawitacyjnych. Przypuszczą się, iż mogą one być poddawane odpowiedniej modulacji przez co mogą stać się nośnikiem informacji, zresztą bardzo wygodnym, gdyż fale te przypuszczalnie nie podlegałyby zakłóceniom. Ponieważ jednak wciąż potrzebujemy nowego rodzaju napędu, prowadzone są również badania nad możliwością kierowania siłą grawitacji. I chociaż na razie cały problem zamyka się jeszcze w sferze doświadczeń i urządzeń laboratoryjnych to zostały |uż poczynione pierwsze kroki. Otóż zastanawiano się, czy nie można w jakiś sposób odwrócić, bądź, też znieść działania siły grawitacji, Okazało się to możliwe. Pierwszą wskazówką była znana już od dawna lewitacja. Stan lewitacji polega na osłabieniu lub całkowitym zniesieniu siły ciężkości działającej na jakiś przedmiot. Stan ten można osiągnąć przez działanie specjalnych fal wytwarzanych przez mózg człowieka. W wyniku działania tych fal można zaobserwować przesuwanie lub podnoszenie różnych przedmiotów. Możliwość wytwarzania tych fal osiągają niektórzy ludzie po długim treningu w wyniku wprowadzenia się w odpowiedni stan psychiczny. Niestety, zdolność działania takiego człowieka jest ograniczona i nie zaspokoi potrzeb cywilizacji, a zbudować sztucznego mózgu, czy też urządzenia wytwarzającego takie fale, na razie nie potrafimy.

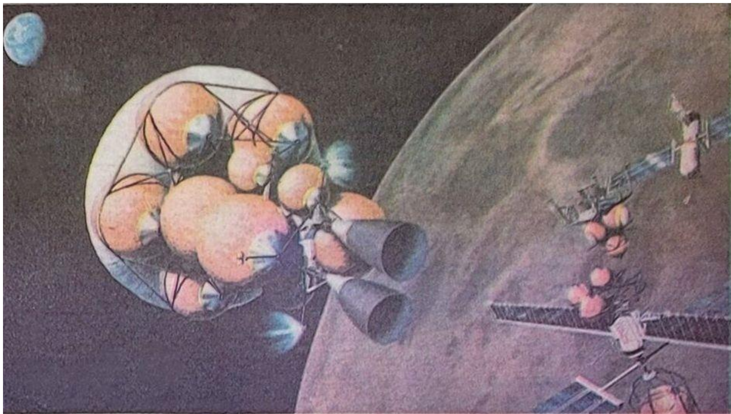
Jednakże jeszcze raz zaufano Albertowi Einsteinowi i posłużono się jego teorią zjednoczonego pola, z której wynika, że istnieje ścisły związek między grawitacją a silami elektromagnetycznymi. W oparciu o te zależności udało się Amerykaninowi T. Brownowi zbudować model silnika elektrograwitacyjncgo napędzającego odpowiedni „latający statek". W modelu tym siła nośna pochodzi od wytwarzanych w silniku grawitonów (według założeń D. Iwanienki - cząstki przenoszące ciążenie) o ciężarze ujemnym. Dodatkowy ciąg silnika powstaje na tarczowym kondensatorze elektrostatycznym umożliwiającym ruch modelu w dowolnym kierunku. Podczas prób laboratoryjnych model, o średnicy 0,5 m przy napięciu na elektrodach 50 000 V, osiągnął na torzc kołowym o promieniu 3 m prędkość około 19 km/h. W następnych próbach, już na torze o promieniu 7,5 m, najpierw przy napięciu 1500 000 V, a następnie 15 000 000 V model osiągał coraz większe prędkości lotu. Tak więc pierwszy krok został zrobiony.

Warto tu dodać, że T. Brown nie jest jedynym naukowcem zajmującym się tym problemem. Inny, tym razem niemiecki uczony Bruckhard Heima również zajmował się problemem wykorzystania grawitacji, a szczególnie możliwością stworzenia grawitacji „ujemnej", za pomocą której stałaby się możliwa regulacja odpychania się mas, a więc również np. Ziemi i statku kosmicznego. Wraz ze swoim bliskim współpracownikiem zbudował on model statku latającego, zdolnego do przetwarzania fal elektromagnetycznych w fale grawitacyjne.

TOMIK

Mimo gwałtownego rozwoju astronautyki konstruktorzy rakiet i wszelkiego rodzaju pojazdów kosmicznych mają świadomość, że stoi przed nimi do rozwiązania niezwykle trudny problem znalezienia nowego rodzaju napędu. Obecnie stosowane silniki na paliwa chemiczne (stałe i płynne) ograniczają możliwości dotarcia w dalsze rejony kosmosu. Trwają więc badania nad silnikami o napędzie jądrowym, fotonowym, a także antygrawitacyjnym. O tych ostatnich piszo dziś Jacek Myszka. Przytoczone przez niego badania laboratoryjne są wprost rewelacyjne.

PREZES



Ten model pojazdu ma być przeznaczony do lotów na trasie Ziemia - Księżyc. Napędem ma być nadal paliwo chemiczne, co widać po licznych zbiornikach

Wstępne próby modelu potwierdziły możliwość budowy statku kosmicznego w kształcie elipsoidy (wg obliczeń) o wysokości 22,5 m i napędzie antygrawitacyjnym. Statek taki będzie się odznaczał wprost rewelacyjnymi walorami i np. będzie mógł osiągnąć Księżyc w czasie 3,5 godz., a podróż na Marsa będzie trwała zaledwie 55 godzin.

Jak z tego wynika, przyszłość jeszcze przed grawitacją. Jej dokładne poznanie i możliwość regulowania miałyby kolosalne znaczenie dla ludzkości. Wówczas wszystkie dotychczasowe rodzaje transportu stałyby się nieaktualne i przestarzałe. Można by budować „latające miasta", które w zależności od pory roku mogłyby unosić się na dowolnej wysokości. Wreszcie można by budować statki kosmiczne napędzane silnikami antygrawitacyjnymi, za pomocą których zrealizowano by dalekie wyprawy międzygwiezdne. Niestety, sama grawitacja jest na razie bardzo mało znana. Badania nad jej poznaniem oraz możliwością kontrolowanego posługiwania się nią w technice prowadzone są w wielu państwach. Ze względu na ich przydatność również do celów militarnych, należą do eksperymentów, o których mówi się niewiele. Ale nawet te skąpe wiadomości docierające do przeciętnego człowieka, pozwalają wierzyć w rychłe rozwiązanie zagadki grawitacji.

Jacek Myszka
ul. Pokoju 19
39-200 Dębica

POLONICA KOSMICZNE

Choć poza legendarnym Twardowskim oraz mjr Mirosławem Hermaszewskim nikt z Polaków nie odbył w przeszłości podróży w kosmos, to jednak Polska była i jest obecna w przestrzeni kosmicznej. Stało się to za sprawą polskich uczonych, których wkład w wiedzę o wszechświecie jest powszechnie doceniany.

Pierwsza polska nazwa w kosmosie pojawiła się w XVII wieku. Astronom gdański, Jan Heweliusz (1611-1687) z wdzięczności za opiekę i pomoc Jana III nazwał odkryty przez siebie gwiazdozbiór na niebie południowym Tarczą Sobieskiego.

Najwięcej polskich nazw znajduję się na Księżycu.

Są tam więc Góry Karpaty i kratery: Kopernika, Heweliusza,. Lubienieckiego, Witelona, Dembowskiego i Banachiewicza oraz (na odwrotnej stronie Księżyca) Skłodowskiej, Dziewulskiego, Gadomskiego, Graffa, Sierpińskiego, Smoluchowskiego i Śniadeckiego. W sumie - 14 polskich nazw, nie licząc 3 innych (kraterów), których patronami są Polacy, związani jednak z nauką niemiecką (Henryka Bogusławskiego i Jerzego Kunowskiego), bądź rosyjską i radziecką (Konstantego Ciołkowskiego).

Nie brak polskich nazw i w innych częściach wszechświata. Oto niektóre z nich:

Komety: Orkisza (odkryta w 1925 roku przez dr Lucjana Orkisza), Wilka (odkryta w tym samym roku przez dr Antoniego Wilka), Kako-Kozika-Lisa (odkryta w latach międzywojennych równocześnie przez Japończyka Kako, Rosjanina Kozika i Polaka Lisa) i Wolfa - Kamieńskiego. Kometę odkrył w 1884 r. astronom niemiecki Wolf, ale czas i miejsce jej pojawienia się na niebie obliczył polski uczony, prof. Michał Kamieński.

PLANETOIDY: 1112 Polonia, Copernicus, Banachicwicza, Śniadeckiego, Ceraskiego oraz Wawel i Varsovia.

Za „polskie" obiekty w kosmosie można również uznać sztucznego satelitę „Copernicus" - największe orbitujące obserwatorium astronomiczne wystrzelone w 1972 roku w USA, jak również satelitę naukowo-badawczego „Kopernik 500", wystrzelonego przez ZSRR w 1973 r. w ramach programu „Interkosmos".

I wreszcie - POLSKIE KSIĘŻYCE: Sekwens i Precedens, odkryte w 1956 r. przez doc. dr Kazimierza Kordylewskiego z Krakowa (są to tzw. pyłowe księżyce Ziemi) oraz Gwiazda Krzemińskiego, odkryta niedawno w gwiazdozbiorze Centaura przez doc. dr Wojciecha Krzemińskiego z Centrum Astronomicznego PAN. Warto przy tym dodać, że uczony odkrył również nowy rodzaj gwiazd, tzw. polary.

Paweł Nowak
czł. PTMA, PTA, PSMF
przewodniczący
Klubu Popularnonaukowego „Andromeda"

I skinął na kaprala. Kapral wiedział już, że przegrał, ale nie chciał się poddawać.

- Po co panu to płótno?
- Było w sklepie? Nie. Sklep jest spożywczy - przypomniał ojciec.
- Ale po co?
- Nie ukradłem. A po co mi płótno? Nie pański interes.

Jego cierpliwość się skończyła. Rozgniewał się. Można by się go przestraszyć, gdy patrzył na kaprala twardym wzrokiem, kiedy miał tak zaciśnięte szczęki i pochyloną do przodu głowę. Jego ręce zwisały niebezpiecznie luźno, gotowe do natychmiastowego działania. Potem odwrócił głowę.

- W porządku - powiedział. - Wracamy?
- Ale po co?
- Moja sprawa - głos ojca stał się cichy i jednocześnie bardziej dobitny. - Mam kwity, że kupiłem.

Kapral załamał się nagle. Zagryzł wargi. Ciągle był czerwony i ta czerwień sięgała nawet szyi.

- Cóż, fałszywy trop - wyjąkał.

Ponuro wyszedł z altany, rozstąpiliśmy się, dając mu drogę.

Babka czyhała tuż obok mnie. Musiałam zatroszczyć się o własną skórę.

- Czy mogę tu zostać? - zapiszczałam jak najprzymilniej, chwytając mojego ojca za rękę. - Jeszcze ponad godzinę do pójścia do szkoły.
- Jasne - powiedział.
- Idzie do domu - zawyrokowała babka. - Mamy do pogadania. Musi się przebrać, dziś koniec roku szkolnego.
- Zdążę- burknęłam.
- Przeżyła wstrząs - rzekł ojciec, ale babka nie zamierzała ustąpić.

Ojciec zwrócił się do mojej mamy:

- Marto, pozwól jej. Chociaż trzy kwadranse.

Spojrzał na zegarek.

Mama, pochłonięta zupełnie czymś innym, odległa od nas, trochę nieprzytomnie skinęła głową.

- Zostań - oznajmił ojciec. - Tylko nie za długo. Uroczystość jest uroczystością. Potem możesz wrócić. Dam ci klucz od domu - umilkł, a potem dodał: - Na zawsze.
- Do domu - oświadczyła babka, ale nie wiadomo, czy chciała mnie zabrać ze sobą, czy też z goryczą przystawała na to, że jego dom będzie od tej pory trochę moim, i że na razie wymykam się jej z rąk.

Ojciec przytaknął:

- To jej ogród. Nie może być mój. Ja... - machnął ręką, popatrując na Piękną. - No nic, to jej ogród. Chcesz go?

Zamknęłam oczy i posłuchałam ogrodu, który zaszeleścił radośnie.

- Tak - pisnęłam i dodałam : - Tatusiu.

Poczułam jego rękę przesuwającą się po moich włosach, była szorstka i twardą, ale to mi nie przeszkadzało.

- Gzy mogę ich zaprosić? - wskazałam na Piękną i Chłopaka.
- Możesz tu robić, co tylko zechcesz.

Kiedy zostaliśmy sami, w trójkę, poczułam się niezręcznie. Prawdę mówiąc, sądziłam, że Piękna odejdzie, i wydawało mi się, że zaraz za nią wyruszy Chłopak, a ja zostanę sam na sam z ogrodem. Nie miałam jednak też nic przeciwko obecności tych dwojga, po prostu zaskoczyła mnie, przygotowałam się do rozmowy z ogrodem, a nie z nimi. Nie z nimi w chwili, gdy wynikło między nimi napięcie - czułam je całą skórą, gdy oni bezgłośnie porozumiewali się ponad moją głową.

Energicznie zdjęłam kurtkę i rzuciłam ją do altany, upadła obok worków na stole, z cichym szelestem.

Może ten dźwięk ich wyzwolił. Chłopaka i Piękną.

Ciągle nad moją głową, stojąc tak, że byłam przegrodą między nimi, jakby rodzajem bufora. Piękna i Chłopak zaczęli rozmawiać, a ja nie śmiałam drgnąć, gdyż wydawało mi się, że oni oboje chcieli, żeby coś przeszkadzało im zbliżyć się do siebie i podać sobie ręce. Nie wiem, co to było, drżałam.

- Przepraszam - powiedziała Piękna. - Zachowałam się wczoraj ohydnie. Ale podróż była okropna, a ja nie chciałam tu przyjeżdżać.

Dlaczego?

- Nie znam tego miejsca. Miałam być gdzie indziej. Miałam jechać W góry i wspinać się i... Nie chciałam tu przyjeżdżać. Babcia nas wezwała. Ale przepraszam.
- Nie masz za co przepraszać.
- A jednak. Nie chciałam tu przyjeżdżać. I jeszcze bardziej nie chciałam, kiedy ojciec w samochodzie zaczął mówić. O zmianach, jakie tu zaprowadzi. Przez cały rok szykowałam się na góry. Przepraszam.

Cdn.

„BŁYSKAWICA" – NA START!

Chr. Denayer - A.P. Duchateau

7

STRESZCZENIE: Wieczorem przed kolejnym wyścigiem o Grand Prix Formuły 1 wóz Alaina Chevalliera jest przygotowywany do startu. Kiedy wszyscy udają się spać, Steack pozostaje w warsztacie. W nocy ktoś zamaskowany włamuje się tam, ogłusza Steacka i demoluje samochód Alaina - „Błyskawicę"...



























ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 55 (3985)
Wychodzi wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.) Teresa Maciszewska, Jan Orgelbrand, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynnyw godz. 11-15).
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch'' Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i teminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa – Książka – Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Inna Bójska
Opracowanie techniczne: Barbara Zając
Korekta: Bianka Abratowska-Lisowska
DSP Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Zam. nr 1545/G. N-29
Nakład 439 000

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

MAŁY MĄDRALA bardzo lubi się przechwalać. Któregoś dnia mówi do kolegi:

- Kiedy byłem nad morzem, to wiał taki wiatr, że wskazówki wielkiego zegara na wieży ratuszowej kręciły się w odwrotną stronę!

- To ci wiatr! Myśmy wracali wczoraj wieczorem od babci naszym maluchem i wiał taki przeciwny wiatr, że zaginął smugi świateł od naszych halogenów i byliśmy stale oślepiani!



Chodziliśmy tam i z powrotem, od płotu do płotu, tam i z powrotem, i nie znajdowaliśmy nic, i chodziliśmy, przetrząsaliśmy każdy metr kwadratowy ogrodu, kapral spocił się, bo zrobiło się już gorąco, a on był skrępowany mundurem, chodziliśmy, mój ojciec, mama, babka. Piękna i ja, i kapral oczywiście, a potem skądś przyszedł do nas Chłopak, ale on się nie liczył, gdyż nie szukał niczego poza obecnością Pięknej. Chodziliśmy i zaczynałam powoli rozumieć, że ojciec nie pokazuje kapralowi całego ogrodu, a tylko jego część. Wyraźnie chciał coś przed kapralem, a może przed nami, ukryć. Chodziliśmy i zaczęło mi się wydawać, że chodzimy ciągle po tych samych miejscach, trafiając do nich od różnych stron, bo kiedy zobaczyliśmy trzecie stadko buldeneży, wyglądało tak samo, jak pierwsze.

- Te są najpiękniejsze - powiedział ojciec do kaprala i wskazał na drzewka.

Byłam pewna, że poznaję jedną z charakterystycznie wygiętych gałęzi, ale kapral tylko skinął skołataną głową i poszliśmy dalej.

Nie widzieliśmy ani stawu, ani srebrnych świerków, ani łąki z trawą, tą trawą, która poprzedniego dnia odrywała mi głowę a pochłaniała ciało, nie, nic z tego. Ojciec kołował, realizował jakiś plan, w końcu doprowadził nas do starej altany, obrośniętej grubo bluszczem o dłoniastych liściach, i kapral wreszcie mógł rzucić się z okrzykiem tryumfu do środka i położyć ręce na dwóch workach z grubej tkaniny, i krzyknąć do Pięknej:

- A jednak to jego widziałaś!

Nie odpowiedziała, tylko obróciła się do mnie i powoli skinęła głową.

- Rozpakujemy - zdecydował kapral, a mój ojciec chrząknął przyzwalająco. Jakiś uśmiech błąkał mu się koło ust, ni to szyderczy, ni to współczujący.

- Nie ma noża - oświadczył kapral - trzeba przeciąć wiązania. Rozplątać się nie da.

Ojciec wzruszył ramionami.

- Przynieś, Maga. Wiesz, gdzie są noże.

Zwłoka nie mogła nam już w niczym pomóc. Niechętnie wyciągnęłam z kieszeni kozik babki i podałam go kapralowi. Babka już się nie cieszyła że żyję:

- Robi zamieszanie, a jeszcze złodziejka - oświadczyła złowróżbnie - Ja wszystko liczę.

Nie musiała tego mówić. Wiedziałam.

Kapral przeciął wiązania jednego z worków, zajrzał do środka i popatrzył z obrzydzeniem na mojego ojca. Potem otworzył drugi worek i na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania. Ale nie mówił nic. Z obu worków wytrząsnął potężne bele żaglowego płótna. Poczerwieniał.

Staliśmy u wejścia do altany, której wnętrze przesiąknięte było zielonymi cieniami, kapral pochylał się nad starym stołem i sumiennie rozwijał bele, szukając w nich przedmiotów skradzionych w sklepie rozwijał, aż upewnił się, że wewnątrz nie ma nawet paczki herbaty.

- A teraz niech pan zwinie - powiedział ojciec

Kapral nie mógł już bardziej poczerwienieć, ale spróbował przeciwstawić się ojcu i podniósł na niego wściekłe oczy. Ojciec nie zareagował Kapral syknął i zaczął zwijać płótno. Nikt mu nie pomógł z fascynacją patrzyliśmy na jego ruchy. Było mi go żal. Zwinął płótno i schował je do worków.

- Może pan nie wiązać - zezwolił ojciec. - Kozik.

Kapral podał mu kozik, a ojciec zwrócił go babce.

- Po co ci był potrzebny? – spytał mnie, a kiedy nie odpowiedziałam, dodał: - Kupię ci, jeśli chcesz coś takiego.

Dokończenie na str. 7